

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Jak polskie Cobi nie dało się duńskiemu Lego i zawojowało cały świat

● Gadomski o wygłodniałej morderczyni ● Ogłoszenia po nowemu: dam pracę tokarce i tokarzowi
PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych audycji i filmów



kurier lubelski

Piątek-Niedziela 16-18.01.2026 | Nr. 7 (18.183) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

Jola i Alicja chcą rejestracji ich małżeństwa. „Nikt nie straci na tym, że będziemy żonami” str. 3



Znowu opłaty idą w górę. Od soboty więcej zapłacimy za wodę i ścieki str. 5

Wiktor Sawicki z Nowej Lewicy zrezygnował z mandatu radnego, bo się przeprowadził str. 4

Nr ISSN 2353-6136

Nr indeksu 350-32X



Mroźno i biało. Takiej zimy dawno nie było.
– Wyż rosyjsko-skandynawski może nas jeszcze mocno zmrozić – mówi klimatolog Rafał Maszewski **STR. 10-13**



CBA w ratuszu. Zastępczyni prezydenta Lublina z zarzutami, została zawieszona w czynnościach służbowych **STR. 3**

REKLAMA

0011449650

podróżuj
w **dobrym**
kierunku
z Podkarpacia



ZOBACZ WIĘCEJ

Daj się ponieść wyobraźni!

WYGRAJ VOUCHERY

na **niezapomniane wakacje**
z wylotem z Rzeszowa



PORT LOTNICZY
RZESZÓW-JASIONKA
IM. RODZINY ULMÓW

wakacje.pl

Marek Twaróg

JAK PORÓWNAĆ PREMIERA DO MADURO I CZUĆ SIĘ DOBRZE



Tomasz Sakiewicz, Izabela Kloc i inni prawicowi działacze porównali w mediach społecznościowych Donalda Tuska do wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro. Sakiewicz czy Kloc to tylko symbol pewnej metody - całego sposobu myślenia po prawej. Prawo nie ma znaczenia, bo siła ma znaczenie, media nie mają znaczenia, bo propaganda ma znaczenie, zasady nie mają znaczenia, bo biznes i pieniądze mają znaczenie.

Ustalmy od razu: jeśli pani posłanka Kloc czytała rocznemu wnukowi książkę Kaczyńskiego i była tym chwycona tak bardzo, że pochwaliła się na Facebooku, to dlaczego nie miałyby teraz uważać Tuska za drugiego Maduro? I jeśli Sakiewicz na okładce swojego periodyku dał trzy lata temu Tuska z podpisem „Gott mit uns”, to dlaczego teraz nie miałby marzyć, by Trump porwał polskiego premiera i wywiózł go z kraju?

To oczywista oczywistość - cytując idola Kloc i Sakiewicza - że oboje doskonale odnajdują się w świecie braku zasad, ignorowania prawa, w tym prawa międzynarodowego, zamulania wszelkich zasad etycznych. Donald Trump spadł im z nieba. Już w czasie pierwszej prezydentury nauczył ich wiele: od szantażowania niepokornych wobec ideologicznych wariactw wielkich miast, przez obdarowywanie swoich faworytów funduszami federalnymi, aż po brutalną walkę z imigrantami czy zakwestionowanie zmian klimatycznych. W drugiej dołożył jawną niechęć do Unii Europejskiej czy uległość wobec wschodnich satrapów, a nienawiść do mediów osiągnęła stan patologiczny.

Wypisz-wymaluj program prawicowych radykałów przełożony na swój buraczany sposób na realia polskie, a może wszechpolskie. Wszystko to znaliśmy nad Wisłą w pewnym wymiarze, ale dopiero teraz metoda ta otrzymała legitymację światowej potęgi i ma swojego prawdziwego lidera. Mamy więc ruską propagandę, która wpływa na biedne umysły nie tylko Braunowców i mąci im spokój ducha. Mamy boty i farmy trolli wzmacniające polsko-polską wojnę, mamy głupkowate kanały na YT, które dają głos wariatom, mamy podważanie społecznego konsensusu, mamy wreszcie wynajętych przez Putina bandytów od pożarów i podkładania bomb pod pociągami.

Wszystko to zło, tam mamy wroga. Ale Polskę rozkręcali i rozkręcają śruba po śrubie także ci, którym przywódca mocarstwa i nasz sojusznik dał gwarancję dobrego samopoczucia. Najpierw pokazał, że można kwestionować każdy porządek, potem nauczył uprawiania pseudopolityki albo realpolityki, a dziś daje glejt na takie poczynania.

Adam Bula

UMRZEMY ZA GRENLANDIĘ CZY ODDAMY KORYTARZ?



Za komuny modny był żart, że PRL powinien wypowiedzieć wojnę USA, a potem natychmiast się poddać. To było nawet dość śmieszne za późnego Gierka i smętną dekadę Jaruzela. Trochę mniej śmieszne jest, że po 40 latach pomysłu, żeby Polska została kolonią Stanów, podoba się połowie naszej tzw. klasy politycznej.

Dla porządku zaznaczmy, że według tej połowy - z grubsza to PiS i Konfederacje - wiernopoddanych sojusz z Ameryką Trumpa to odpowiedź na zdradzieckie działania tej drugiej połowy - z grubsza to Tusk i cała Koalicja 15 X - którzy robią z Polski kolonię niemiecką, wiernie realizując nad Wisłą interesy „Brukseli”.

Zauważyliście? - nie ma tu w ogóle miejsca na wizję Polski, która rządzi się we własnym interesie i możliwie samodzielnie, bez „mocnych” patronów. Może dlatego między zwolenników „tylko Ameryki” a „Unii przede wszystkim” tak zgrabnie wbija się skrajne skrzydło Korony Polskiej Brauna i rzesza niszowych dotąd, dziwnych ludków z hasłem: „hej, a wielka i słowiańska Rosja? Musimy się po polexicie na nowo dogadać z Rosją, bo nasz odwieczny wróg to Ukraińcy”.

Prawdziwe zamieszanie zacznie się, gdy Donald Trump ruszy po Grenlandię. A pewnie ruszy szybciej, niż zamierzał, bo z każdą zastrzeloną jak pies białą kobietą w Minneapolis potrzebował będzie bardziej „sukcesów” za granicą. Błyskotliwa, nokautująca akcja amerykańskich sił zbrojnych w Wenezueli z pewnością dodała też jego administracji animuszu.

No więc tak: jak przyjdzie co do czego, to wysyłamy Formozę na pomoc Duńczykom czy oddajemy znów GROM do dyspozycji Amerykanów, by pomogli w lądowaniu ich sił specjalnych. Marynarki lepiej nigdzie nie wysyłajmy, bo dopiero mamy ją mieć. Wojskowi mają cywilne zwierzchnictwo, więc czekają nas wtedy dwa następujące po sobie orędzie do Narodu i nie do końca jest pewne, co w nich usłyszymy. Bo generalnie sprawa dla nikogo nie będzie prosta: NATO nie ma żadnych procedur na wypadek konfliktu zbrojnego między dwoma jego członkami. Po prostu zamiast wałkować art. 5 Paktu - pomoc dla zaatakowanego

członka Sojuszu, wałkowany będzie art. 1, który wojny w rodzinie zabrania.

No ale to przecież nie będzie wojna: Amerykanie nie muszą najeżdżać wyspy, wystarczy, że radykalnie i bez zgody Danii powiększą swój personel wojskowy w bazie lotniczej, którą mają tam od połowy XX wieku.

To oczywiście czysta spekulacja. Znacznie ciekawsze są dziś spekulacje, kto lub co było na pustym tankowcu rosyjskiej floty cieni, który z Iranu płynął sobie do Wenezueli, ale nie dopłynął, tylko nawiewał przez Atlantyk, ścigany przez Amerykanów, którzy ostatecznie zrobili jego abordaż, zanim Rosjanie mogli go skutecznie ochronić na Morzu Barentsa. To musiało być coś więcej wartego dla Rosjan niż cała legenda floty cieni, skoro na koniec próbowali się ratować, wciągając tankowiec pod swoją oficjalną banderę.

Spokojnie - nikt nie ma pojęcia, o co tam chodziło. Jasne za to jest, że Amerykanie weszli w fazę ostrego prężenia mięśni, przekazując komunikat, że mogą robić, co chcą i gdzie chcą. Złośliwi zauważają jednak, że nie dotyczy to tylko Chin i kwestii Tajwanu, bo tam może być akurat zupełnie odwrotnie. Ale pewne jest tylko jedno: po zaledwie tygodniu nowego roku wiadomo już, że to będzie ekstremalnie... ciekawy rok. A jak my jesteśmy na niego gotowi?

Dominik Tarczyński, teoretycznie nadal z PiS, choć już naprawdę mógłby zrzec się polskiego obywatelstwa, publicznie klaszcze agentom służb imigracyjnych ICE z Minneapolis. Patrząc na niego, mam wrażenie, że marzeniem Tarczyńskiego jest zrobienie sobie niedźwiedzia z głębokim całusem z Trumpem, tak jak to udawało się naszym kiedyś z Breżniewem. W każdym razie inni PiS-owcy, którzy w tym czasie wieszczyli Tuskowi, że będzie następny po dyktatorze Wenezueli, to przedszkole.

Trzon partii PiS próbuje w tym czasie coś politycznie ugrać na tragedii zgwałconej policjantki z Piaseczna, doprowadzając szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego do stanu, w którym z mównicy sejmowej apeluje: puknijcie się w czoło, pisowskie hieny...

Na szczęście ten pierwszy tydzień nowego roku zakończy spotkanie prezydenta i premiera, na którym ustalą, czy są w stanie cokolwiek między sobą ustalić.

Nie łudźcie się jednak: szaleństwo świata nie jest dość dobrym powodem, by jakiś polski polityk zaczął się kierować nie partyjnym interesikiem, tylko... polską racją stanu. To zwyczajnie za trudne dla ludzi o mentalności wasali.

Niezależnie od emocji politycznych wewnątrz kraju w kwestii bezpieczeństwa będę namawiał prezydenta, żeby wykorzystał, jak najlepiej potrafi, swoje relacje z administracją amerykańską i prezydentem Donaldem Trumpem i dlatego będę proponował, żebyśmy budowali synergii i pełną koordynację

nasz REGION

LUBLIN

Kolejna śmiertelna ofiara mrozów

77-letni mężczyzna został znaleziony we wtorek na terenach przy ul. Janowskiej - Mężczyzna został przewieziony do szpitala w stanie głębokiej hipotermii. Z dokumentacji medycznej wynika, iż przed południem został znaleziony przez pracownika pobliskiego wysypiska śmieci - informuje podinspektor Kamil Gołębiowski, oficer prasowy KMP w Lublinie. Zarządzono sekcję zwłok. AP



LUBLIN

Ciepło wróciło na Węglin

W środę na skutek awarii sieci ciepłowniczej w części mieszkań na terenie Węglina Południowego oraz osiedli Błonie i Łęgi nie było ogrzewania. Po kilkunastu godzinach awarię usunęto. ASZ

FOT. WOJTEK SZUBARTOWSKI

CBA w ratuszu. Zastępczyni prezydenta Lublina z zarzutami i zawieszona w czynnościach służbowych

Aleksandra Szymczak
Lublin

Funkcjonariusze CBA zatrzymali Beatę Stepaniuk-Kuśmierzak, zastępczyni prezydenta Lublina i sześć innych osób w związku ze śledztwem dotyczącym przekroczenia uprawnień. Sprawa dotyczy m.in. organizacji strefy kibica.

Do zatrzymań doszło w środę 14 stycznia. Funkcjonariusze Delegatury Centralnego Biura Antykorupcyjnego w Lublinie zatrzymali siedem osób na polecenie Prokuratury Krajowej Lubelskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przesłuchania Zorganizowanej i Korupcji. Wśród zatrzymanych była m.in. Beata Stepaniuk-Kuśmierzak, zastępczyni prezydenta Lublina. Ponadto CBA podaje, że działaniami został ob-

jęty dyrektor i kierownik jednego z wydziałów Urzędu Miasta Lublin, a także przedsiębiorcy z branży eventowej.

- W trakcie czynności zabezpieczono materiał dowodowy w postaci urządzeń elektronicznych oraz obszernej dokumentacji - przekazał zespół prasowy CBA.

Urzednicy mieli ustawić przetargi

Prokuratura Krajowa podała, że zarzuty obejmują okres od 22 kwietnia do 12 lipca 2024 r. Proceder miał polegać na bezprawnym wywarceniu wpływu na decyzję osoby pełniącej funkcję publiczną w związku z postępowaniem na organizację „Strefy Kibica Euro 2024”.

Prowadzone przez funkcjonariuszy CBA postępowanie przygotowawcze dotyczy podejrzenia popełnienia przestępstwa przekroczenia

uprawnień oraz ustawiania przetargów. Z ustaleń śledztwa wynika, że zatrzymani mieli ustalać tryb oraz wartość zamówienia, a także kierować zapytania ofertowe do wcześniej wskazanych podmiotów, co skutkowało wyborem z góry określonego wykonawcy. Zastępczyni prezydenta miała ponadto przyjąć korzyść majątkową w postaci biletów typu VIP.

- Przedsiębiorcy z branży eventowej brali udział w zmowach przetargowych w postępowaniach o zamówienia publiczne, mających na celu zapewnienie wygranej z góry wybranemu podmiotowi, także poprzez pozorowanie konkurencji. Przedsiębiorcy mieli również dopuścić się bezprawnego wywierania wpływu na urzędników samorządowych oraz wręczania i obiecywania wręczenia korzyści majątkowych

- sprecyzowano w komunikacie wysłanym do mediów.

Zastępczyni prezydenta zawieszona

Zatrzymanych doprowadzono do Prokuratury Krajowej Lubelskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przesłuchania Zorganizowanej i Korupcji.

Prokurator przedstawił trzem urzędnikom Urzędu Miasta Lublin, w tym zastępczyni prezydenta Lublina, zarzuty „nadużycia funkcji, sprzedawania urzędniczej oraz zakłócenia przetargu”.

Wobec sześciu osób zastosowano środki zapobiegawcze w postaci poręczenia majątkowego, dozoru policji polegającego na zakazie kontaktowania się z innymi podejrzanymi.

- Dodatkowo dwójkę urzędników, w tym zastępcę prezydenta Lublina, zawieszono w czynnościach służbowych. Wobec jednego z podejrzanych przedsiębiorców zastosowano także zakaz opuszczania terytorium RP - informuje CBA.

Po złożonych wyjaśnieniach urzędnicy zostali zwolnieni do domu. CBA podkreśla, że to pierwsza realizacja w prowadzonym postępowaniu i sprawa jest rozwojowa. - Planowane są kolejne czynności procesowe - zaznaczono w komunikacie.

Trudno mówić

o „ustawieniu przetargu”

- W nawiązaniu do komunikatu CBA w sprawie czynności prowadzonych w Wydziale Sportu, informujemy, że w naszej ocenie opisane w nim sytuacje nie dotyczą postępowań przetargowych w rozumieniu prawa zamówień publicznych

- napisała Justyna Góźdz, rzecznik prasowy Prezydenta Miasta Lublin. - To, to co służby nazywają „zmową przetargową” obejmuje jedynie zamówienia zwolnione ze stosowania prawa zamówień publicznych, a tym samym nie wymagające przeprowadzania procedury przetargowej. W tej sytuacji trudno zatem mówić o „ustawieniu przetargu”.

- Beatę Stepaniuk-Kuśmierzak znam z ogromnego oddania i zaangażowania oraz serca, jakie wkłada w każdy realizowany projekt. Ma moje całkowite zaufanie i jestem w pełni przekonany o jej uczciwości - napisał na FB prezydent Krzysztof Żuk. - Ścisłe współpracujemy ze służbami prowadzącymi postępowanie i robimy wszystko, by jak najszybciej wyjaśnić wszelkie wątpliwości. Wierzę, że prawda zwycięży.

Jola i Alicja czekają, aż urząd zarejestruje ich małżeństwo

Joanna Jastrzębska
Lublin

W lipcu 2023 r. Jolanta i Alicja wzięły ślub. W Portugalii, bo w świetle polskiego prawa nie było to możliwe. I to był początek wspólnego życia, ale i wspólnego chodzenia po sądach w walce o transkrypcję aktu ich ślubu.

- Mamy nadzieję, że coraz mniej par po nas będzie musiało podejmować tę walkę - mówi Alicja Sienkiewicz-Prochowicz.

15 stycznia Wojewódzki Sąd Administracyjny w Lublinie miał rozpoznać skargę, którą złożyły na odmowę sporządzenia transkrypcji aktu ich ślubu. W środę wieczorem dowiedziały się, że podobną sprawą w marcu będzie zajmowała się wyższa instancja - Naczelny Sąd Administracyjny - dlatego ich pełnomocniczka Monika Sokołowska złożyła wniosek o odroczenie.

- Nie ukrywam, że orzeczenie Naczelnego Sądu Administracyjnego zapewne wyznaczy kierunek orzecznictwa sądów administracyjnych w tego typu sprawach. Wyrok TSUE



Jolanta i Alicja wzięły ślub półtora roku temu w Portugalii. Wczoraj Wojewódzki Sąd Administracyjny w Lublinie miał wydać orzeczenie w ich sprawie

przemawiający za zasadnością transkrypcji aktów małżeństwa par jednopłciowych bazuje na konkretnym stanie faktycznym, który jest nieco odmienny od stanu faktycznego dotyczącego przedmiotowej sprawy skarżących. Naczelny Sąd Administracyjny, mając świadomość, że toczą się inne postępowania w sprawie tran-

skrypcji dotyczące różnych stanów faktycznych, być może podejmie szerszą argumentację. W mojej ocenie TSUE nie tylko oparł się na kryterium umacniania, budowania czy umacniania więzi na podstawie zasady swobody przepływu (osób w UE - przyp. red.), ale również wskazał na zasadę niedyskryminacji.

Lubelski sąd przychylił się wczoraj do wniosku pełnomocniczki z uwagą na „ważki charakter sprawy” i odroczył sprawę.

Dla kobiet nie jest to jednak bynajmniej pierwsza batalia, a pokłosie dotychczasowych. W październiku 2023 r., kilka miesięcy po ślubie, Urząd Stanu Cywilnego w Lublinie odmówił wpisania aktu ślubu do krajowych ksiąg stanu cywilnego. Żony zaskarżyły tę decyzję do wojewody lubelskiego, a ten dwa miesiące później utrzymał ją w mocy. Wtedy Jolanta i Alicja złożyły skargę do sądu administracyjnego, w której domagały się uchylenia decyzji wojewody i dokonania transkrypcji aktu małżeństwa, wskazując m.in., że wniosły o transkrypcję zgodnie z prawem, które je do tego zobowiązuje. Sprawa trwa się tak długo, bo sędzia zdecydował, żeby poczekać, aż rozpatrzony będzie podobny przypadek. Ponieważ został - pary gejów z Berlina, w sprawie którego w listopadzie wypowiedział się TSUE - odbyła się kolejna rozprawa.

Ślub Alicji i Jolanty

- Wzięcie ślubu w Polsce dla par heteroseksualnych to jest

wydatek osiemdziesięciu czterech złotych. Tyle kosztuje wydanie dokumentu w Urzędzie Stanu Cywilnego. Natomiast my musiałyśmy pojechać za granicę. Wiele par nie może sobie na to pozwolić - mówi Alicja.

Po portugalskiej uroczystości kobiety zdecydowały się również na ślub humanistyczny (nie ma on wartości prawnej - przyp. red.), który świętowały w liczniejszym gronie niż na Maderze.

- Nasi bliscy, osoby, z którymi widzimy się codziennie, od dawna traktują nas jak żony, od momentu ślubu, i już chyba czas najwyższy, żeby prawo dawstwo polskie, ale też politycy, polityczki, osoby sprawujące władzę nadały za społeczeństwem, które już rozumie, że nikomu nic nie zabieramy. Po prostu. Nikt, naprawdę nikt w Polsce nic nie straci na tym, że my w świetle prawa będziemy mogły mówić, że jesteśmy żonami - dodaje Jola. - Tu nie chodzi tylko o nas dzisiaj, tu chodzi o całą społeczność. My bardzo chcemy, żeby ta, w naszej opinii, dyskryminacja par LGBT w Polsce po prostu się już

skończyła. My czekamy w zasadzie od momentu, kiedy wzięliśmy ślub, ale proszę pamiętać, że wcale nie jesteśmy pierwsze ani drugie, ani trzecie.

Jola i Alicja są świadome, że nawet jeśli ta sprawa zakończy się dla nich pomyślnie, to będzie symboliczna decyzja. I formalna furta do walki o to, żeby móc faktycznie cieszyć się takimi samymi przywilejami jak heteroseksualne małżeństwa.

- Jeżeli już tę transkrypcję wywalczymy, będzie to najpewniej dokument, z którym nie będziemy się rozstawali, bo będzie nam potrzebny absolutnie w każdym urzędzie, przy załatwieniu każdej sprawy urzędowej, zdrowotnej. Będziemy musiały pokazywać każdej urzędniczce, każdej osobie. Alicja kiedyś mi napisała w dedykacji do książki, jeszcze zanim byłyśmy żonami, że ma nadzieję, że kiedyś jakieś dzieci - czy nasze symboliczne, czy nasze rzeczywiste - będą mogły powiedzieć, że między innymi nam w Polsce żyje się trochę łatwiej i żeby niedługo nie trzeba było już wyjeżdżać za granicę po swoje podstawowe prawa.

Najlepsze licea i technika według rankingu Perspektywy 2026

Anna Paszkowska
Lubelskie

W tegorocznej edycji rankingu „Perspektywy 2026” najlepszymi placówkami okazały się III LO im. Unii Lubelskiej i Technikum Elektroniczne przy ul. Wojciechowskiej w Lublinie.

Zestawienie ma na celu pomóc uczniom kończącym szkołę podstawową w wyborze dalszej ścieżki edukacyjnej. Dane do rankingu pochodzą z wiarygodnych źródeł, takich jak okręgowe komisje egzaminacyjne, komitety główne olimpiad oraz System Informacji Oświatowej (SIO).

Najwyżej notowane licea w województwie lubelskim

Na czele znalazło się III LO im. Unii Lubelskiej w Lublinie, które w ogólnopolskim rankingu zajęło 28. miejsce. I Społeczne LO im. Unii Europejskiej w Zamościu jest na 41. miejscu w rankingu ogólnopolskim. I LO im. Stanisława

Staszica zajęło 47. miejsce w kraju, a Prywatne Liceum Ogólnokształcące im. Królowej Jadwigi w Lublinie 79. miejsce.

Najlepsze technika w województwie lubelskim

Technikum Elektroniczne przy ul. Wojciechowskiej w Zespole Szkół Elektronicznych w Lublinie ponownie zdobyło pierwsze miejsce w kategorii najlepszego technikum w naszym województwie. Szkoła, tak jak w ubiegłym roku, w rankingu ogólnopolskim zajęła 5. miejsce.

Na 32. miejscu w kraju znalazło się Technikum nr 4 ZST im. M. Skłodowskiej-Curie w Puławach. Technikum Ekonomiczne (ZSE im. A. i J. Vetterów ma 37. miejsce w kraju. Miejsce 43. miejsce należy do Technikum Zawodowego nr 2 (ZS nr 2) w Lubartowie. Natomiast 56. miejsce w kraju ma Technikum nr 3 (ZS nr 3) w Łukowie, a Technikum Ekonomiczno-Handlowe (ZS nr 1) w Lublinie zajęło 90. miejsce.

Zrezygnował z mandatu radnego, bo się przeprowadził

Jakub Sarek
Lublin

Wiktor Sawicki, wiceprzewodniczący Nowej Lewicy w Lublinie, nie jest już radnym lubelskiej dzielnicy Konstancynów. Oddał mandat, bo przeprowadził się na Czuby.

- Złożyłem rezygnację z funkcji członka Rady Dzielnicy Konstancynów. Jest to związane z tym, że przestałem na stałe zamieszkiwać na terenie Konstancynowa, a obecnie moim centrum życia rodzinnego i prywatnego jest lubelska dzielnica Czuby. Uznałem, bowiem, że jedynym prawidłowym i uczciwym zachowaniem wobec rady, ale przede wszystkim wobec mieszkańców dzielnicy jest takie posunięcie. Nie sposób bowiem decydować o dzielnicy, kiedy samemu się na jej terenie już nie zamieszkuje na stałe - przekazała na Facebooku Wiktor Sawicki, który jest jednocześnie wiceprzewodniczącym Nowej Lewicy w Lublinie.



Wiktor Sawicki

Przy okazji zwrócił się też z apelem do samorządowców każdego szczebla, „którzy znaleźli się w podobnej sytuacji co on”, aby poszli jego śladem.

- Jest to nie tylko uczciwe, ale też konieczne względem prawa! Wiemy bowiem, że są takie osoby, a dla przejrzystości i uczciwości życia publicznego, byłoby dla wszystkich lepiej, gdyby tylko osoby do tego upoważnione, decydowały o kierunkach rozwoju swoich samorządów. To również wskazówka dla mieszkańców, aby przykładali większą uwagę, czy

osoby decyzyjne, są do tego uprawnione - podkreślił w swoim wpisie Sawicki.

To nawiązanie do sprawy pięciu radnych Rady Miasta Lublin z klubu prezydenta Krzysztofa Żuka. Chodzi o Kamilę Florek, Martę Gutkowską, Monikę Kwiatkowską, Annę Ryfkę i Magdalenę Szczygieł-Mitrus. Jesienią 2024 r. portal Jawny Lublin, powołując się własne ustalenia, ale też wpisy z ksiąg wieczystych, oświadczenia majątkowe i zdjęcia z mediów społecznościowych, wykazał że wspomniane radne mieszkają poza miastem. W świetle prawa natomiast ich centrum życiowe powinno być na terenie jednostki, w której sprawują mandat, co oznacza, że nie powinny pełnić tej funkcji. Radne zaprzeczyły tym ustaleniom, pokazując swoim klubowym koleżankom i kolegom oświadczenia majątkowe i deklaracje podatkowe, co klub odnotował jako dowód, że „zamieszkują na stałe w Lublinie i ich wola w tym zakresie nie budzi wątpliwości”.

W październiku 2025 r. zawiadomienie o podejrzeniu po-

pełnienia przez nich przestępstwa polegającego na złożeniu nieprawdziwych oświadczeń o miejscu zamieszkania skierowali do Prokuratury Rejonowej w Lublinie politycy Nowej Lewicy: Wiktor Sawicki i Piotr Zarwotniak.

W grudniu 2025 r. Prokuratura Rejonowa Lublin-Północ wszczęła dochodzenie w sprawie - Zgromadzony materiał dowodowy w postaci dokumentów uzyskanych przez prokuraturę nie pozwalał na ocenę sytuacji procesowej związanej z zawiadomieniem złożonym w tym w tej sprawie, wobec czego prokurator podjął decyzję o wszczęciu dochodzenia - mówił „Kurierowi” prok. Marek Zych, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Lublinie.

W październiku do sprawy odnosił się wspomniane radne. W specjalnym oświadczeniu napisały, że „stanowczo protestują przeciwko wymierzzonej w nie nagonce, której celem jest zdyskredytowanie ich w oczach mieszkańców i mieszkańek Lublina”.

REKLAMA

0011460141

Polska i Europa - czas na nowy porządek. Ważna debata w lutym w Warszawie

Współczesny świat znajduje się w fazie głębokiej przebudowy. Dotychczasowy porządek międzynarodowy ulega erozji, a na jego miejsce nie wyłonił się jeszcze nowy, stabilny układ sił. Gospodarka globalna coraz silniej funkcjonuje w cieniu geopolityki, gdzie wojny, rywalizacja mocarstw, kryzysy migracyjne i narastające turbulencje polityczne wpływają bezpośrednio na decyzje ekonomiczne, łańcuchy dostaw oraz tempo rozwoju poszczególnych państw.

Konflikty zbrojne unaoczniały, jak krucho są fundamenty bezpieczeństwa energetycznego, żywnościowego i technologicznego. W tym nowym, niepewnym otoczeniu Polska i Europa stają wobec fundamentalnych wyzwań. Bezpieczeństwo i niezależność – energetyczna, technologiczna i militarna – przestają być jedynie hasłami, a stają się strategicznymi priorytetami.

To właśnie te przemiany i wyzwania będą głównym tematem debat podczas konferencji **EEC Trends**, która odbędzie się **9 lutego 2026 r.** w hotelu **Sheraton Grand Warsaw**. Tradycyjnie EEC Trends zgromadzi liderów życia gospodarczego, przedstawicieli administracji, in-

westorów i analityków, którzy poszukają odpowiedzi na pytania o przyszłość polskiej gospodarki w dynamicznym świecie.

Swoją udział potwierdzili już m.in. **Miroslaw Czeka**j, prezes Banku Gospodarstwa Krajowego; **Krzysztof Dresler**, wiceprezes PKO Banku Polskiego; **Agnieszka Kubera**, prezeska Accenture w Polsce; **Katarzyna Lubnauer**, sekretarz stanu Ministerstwa Edukacji Narodowej; **Kamil Majczak**, prezes Grupy Qemetica; **Renata Mroczek**, prezes Urzędu Regulacji Energetyki; **Michał H. Mrozek**, wiceprezes ING Banku Śląskiego; **Bartłomiej Pejo**, poseł na Sejm RP, przewodniczący Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowo-

czesnych Technologii; **Piotr Wyborski**, prezes PKP Polskich Linii Kolejowych. W czasie uroczystej gali towarzyszącej EEC Trends wrę-

zione zostaną statuetki **WNP Awards**. Prestiżowe wyróżnienia przyznawane są przez redakcję portalu WNP osobom, instytucjom i firmom,

które w szczególny sposób wpływają na rozwój polskiej gospodarki. Nagrody trafiają do tych, którzy poprzez swoją aktywność, odwagę

w działaniu i umiejętność przewidywania zmian wyznaczają nowe kierunki rozwoju – dla branż, sektorów i całej gospodarki.



Znowu opłaty idą w górę. Od najbliższej soboty więcej zapłacimy za wodę i ścieki

Artur Jurkowski
Lublin

To zmiana, którą w portfelach odczuje ponad 300 tysięcy mieszkańców Lublina. Od najbliższej soboty w górę idą stawki za wodę i ścieki. Wzrosną o 4,4 proc.

Obecne stawki za wodę i odprowadzenie ścieków obowiązują niespełna od półtora miesiąca. Weszły w życie od 30 listopada 2025 r. A Lublinianie już muszą się przygotowywać do kolejnego wzrostu opłat. Zaczną obowiązywać od najbliższej soboty (17 stycznia). MPWiK podał nowe taryfy, które mają funkcjonować w trzech najbliższych latach. I nie są to dobre wiadomości. Co roku Lublinian czekają podwyżki.

- W pierwszym roku obowiązywania taryf łączna cena za wodę i ścieki wzrośnie o 4,4 proc., w drugim roku cena wzrośnie o 2,6 proc., zaś w trzecim o 1,5 proc. - informuje Magdalena Bożko-Miedzwiecka, rzeczniczka prasowa MPWiK Lublin.



FOT. ARCHIWUM

Za wodę i odprowadzane ścieki MPWiK Lublin naliczy opłaty wyższe o 4,4 proc.

Od najbliższej soboty za metr sześcienny wody trzeba będzie zapłacić 5,91 zł (netto - 5,47 zł). To 29 gr (brutto) więcej niż obecnie.

W przypadku ścieków nowa stawka ma sięgnąć 7,56 zł (netto - 7 zł) za metr sześcienny. Obecnie stawka jest o 27 groszy (brutto) niższa i wynosi 7,29 zł

(netto - 6,75 zł). - Dla mieszkańca zużywającego średnio 2,9 metra sześciennego wody na miesiąc oznacza to w pierwszym roku obowiązywania taryf miesięczny rachunek wyższy o kwotę 1,50 zł netto, w drugim roku o 0,93 zł netto, zaś w trzecim roku o 0,55 zł netto - wylicza Bożko-Miedzwiecka.

„Minimalnie możliwy poziom”

Taryfy MPWiK zostały zatwierdzone 31 grudnia 2025 r. przez Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Lublinie PGW Wody Polskie. Cennik przyjęto na trzy lata. Zastąpił ten, który przyjęto nieco ponad rok wcześniej.

- Spółka dostosowała taryfy do rzeczywistych kosztów prowadzonej działalności, związanych m.in. z rosnącymi kosztami pracy, obciążeniami publicznoprawnymi, niezbędnymi nakładami w bezpieczeństwie oraz inwestycji i remontów w infrastrukturę wodno-ściekową w Lublinie - tłumaczy Bożko-Miedzwiecka.

MPWiK zapewnia jednocześnie: - Nowe taryfy zostały skalkulowane na minimalnym możliwym poziomie, chroniącym interesy mieszkańców miasta, a równocześnie zapewniającym bezpieczeństwo i ciągłość dostaw wody i odprowadzania ścieków - przekazuje Bożko-Miedzwiecka.

Zmiana dla ponad 300 tysięcy osób

MPWiK dostarcza wodę i odprowadza ścieki od ok. 318 tys. osób. To przede wszystkim mieszkańcy Lublina. Ale nie tylko. Z usług lubelskiej komunalnej spółki korzystają mieszkańcy gm. Konopnica: w rejonie położonych na terenie Lublina ul. Raszyńskiej, ul. Laskowej i ul. Nałęczowskiej; gm. Głusk: w rejonie lubelskich: ul. Barwnej, ul. Podlesnej, ul. Abramowickiej, ul. Strojnowskiego, ul. Zorza oraz głuskiej ul. Bukowej oraz gm. Jastków: w rejonie lubelskiej ul. Aksamitnej i położonej na terenie gm. Jastków ul. Ziemskiej.

W kolejnych latach stawki za wodę i ścieki będą się w górę. Od 17 stycznia 2027 r. za wodę trzeba będzie zapłacić 6,21 zł (5,75 zł netto) a za ścieki - 7,60 zł (netto - 7,04 zł)

Od 17 stycznia 2028 r. za wodę trzeba będzie zapłacić 6,36 zł (5,89 zł netto) a za ścieki - 7,66 zł (netto - 7,09 zł).

Do 2028 r. MPWiK na inwestycje w rozwój sieci wodociągowej i kanalizacji sanitarnej planuje wydać 123 mln zł.

Zmarł ks. Jerzy Ważny, kustosz sanktuarium

Jakub Sarek
Lubelskie

Nie żyje ks. kan. Jerzy Ważny, kustosz Sanktuarium Matki Bożej Kębelskiej w Wąwolnicy i proboszcz tamtejszej parafii pw. św. Wojciecha. Odszedł po ciężkiej chorobie. Miał 65 lat.

Pogrzeb odbędzie się w sobotę 17 stycznia o godz. 12 w wawolnickim sanktuarium.

Ks. kan. Jerzy Ważny posługę duszpasterską pełnił jako wikariusz w parafii pw. św. Zofii w Tamogórze (1987-1993), a potem w parafii św. Jadwigi Królowej w Lublinie (1993-1997). Przez cztery lata był proboszczem w Rudniku Szlacheckim, a w 2001 roku został proboszczem w Wąwolnicy. - Był jednym z najbardziej rozpoznawalnych i zaangażowanych duszpasterzy w archidiecezji lubelskiej, oddanym pasterzem, który przez ponad dwie dekady prowadził wspólnotę w jednym z najważniejszych maryjnych miejsc kultu w Polsce - informuje Archidiecezja Lubelska.

REKLAMA

0011461217

Wybieramy najpiękniejsze zdjęcia miast w dobroczynnym konkursie „Świeć się z Energa”. Głosujcie i pomagajcie, to już ostatnie dni!

Miejscowości w całej Polsce wciąż są rozświetlone i pełne blasku. Możecie je podziwiać także w naszej świątecznej galerii fotografii i głosować. Bo w konkursie „Świeć się z Energa” nie chodzi tylko o piękne iluminacje. Chodzi o coś znacznie ważniejszego - o rodziny, seniorów, dzieci... O potrzebujących, którzy dzięki Waszemu zaangażowaniu już wkrótce mogą otrzymać wsparcie.

Każdy głos ma znaczenie, każdy głos to szansa dla miasta na wygraną w dobroczynnym plebiscytcie. Wasze zaangażowanie może odmienić codzienność wielu osób, które znalazły się w trudnej sytuacji. Pokażcie, że lokalna społeczność to ogromna siła i do 21 stycznia codziennie oddajcie na stronie internetowej naszego dziennika 10 bezpłatnych głosów. Mobilizujcie rodzinę, zachęcajcie do tego znajomych, koniecznie udostępniajcie plebiscytowe posty w mediach społecznościowych!



Dwa etapy konkursu z wyjątkowymi nagrodami
Do wojewódzkiego etapu konkursu trafi 16 miejscowości, a każda z nich otrzyma od Energi nagrodę o wartości 10 tys. zł na zakup sprzętu AGD: lodówek, pralek,

zmywarek, blenderów... Ten zaś zasili miejsca, w których jest najbardziej potrzebny - trafi do domów pomocy społecznej, placówek edukacyjnych i opiekuńczych, a także do osób zmagających się z codziennymi wyzwaniami.

Zwycięskie samorządy zdecydują, gdzie dokładnie popłynie ta pomoc. W kolejnej odsłonie - już w wielkim finale - miasta będą się ubiegały o tytuł Świetlnej Stolicy Polski. A stawka jest naprawdę wysoka: to

dodatkowe 50 tys. zł wsparcia dla mieszkańców i lokalnych instytucji!

„Świeć się z Energa”. Razem możemy więcej
Od lat włączamy w tę akcję całe miasta - od największych



Energa | GRUPA RLEN

po najmniejszych. Wspólnie budujemy więzi, wzmacniamy poczucie wspólnoty i przypominamy, że w świątecznym i noworocznym czasie szczególnie warto być razem.

- Przez ponad 15 lat przekazaliśmy już pomoc o wartości ponad 2 milionów złotych. To piękna, wspólna energia. I bardzo konkretna dobroczynność. Jako Energa i Fundacja Energa robimy oczywiście dużo więcej, bo Energa włącza dobroczynność i prospołeczne działania przez cały rok - mówi Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA.

KRÓTKO

WARSZAWA

Posiedzenie ws. aresztu dla Ziobry

W czwartek po godz. 10 Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa wznowił posiedzenie w sprawie ewentualnego tymczasowego aresztu dla byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry.

Posiedzenie sądu było niejawnie. Obecni byli obrońcy b. szefa MS adw. Bartosz Lewandowski i adw. Adam Gomoła, a także prok. Piotr Woźniak, który w Prokuraturze Krajowej kieruje śledztwem dotyczącym nieprawidłowości przy wydawaniu pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości.

Przed wejściem do sądu prok. Woźniak poinformował, że sąd dysponuje w tej chwili już wszystkimi dokumentami, o których braku była mowa na posiedzeniu z 22 grudnia. Dodał, że z formalnego punktu widzenia (azyl udzielony Ziobrze) nie ma żadnego znaczenia dla rozpoznania przez sąd kwestii związanych z przesłankami tymczasowego aresztowania, ale wzmacnia przesłankę ukrywania się podejrzanego. Okoliczność ta zapewne została podniesiona na posiedzeniu sądu.

WARSZAWA

Będzie ekstradycja Aleksandra B.?



Aleksander B. doprowadzany na rozprawę w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Wczoraj sąd miał się zająć wnioskiem prokuratury o dopuszczenie ekstradycji obywatela Federacji Rosyjskiej Aleksandra B., którego ukraińska prokuratura podejrzewa o umyślne, częściowe zniszczenie obiektu dziedzictwa kulturowego.

WARSZAWA

Wirus HAV szaleje na UW

Na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego potwierdzono przypadki wirusowego zapalenia wątroby typu A (HAV). Władze tej jednostki uczelni wydały komunikat do pracowników i studentów na temat tego, jak postępować w takiej sytuacji.

W opublikowanej informacji dla pracowników i studen-

tów stołecznej uczelni podkreślono, że wirus HAV „przenosi się głównie drogą pokarmową (fekalno-oralną), przez kontakt seksualny, spożywanie żywności z niepewnego źródła zakażonej wirusem HAV, najczęściej przez brudne ręce lub skażone powierzchnie”.

Dodano też informacje o działaniach prowadzonych na uczelni.

ŚWIADCZENIA

ZUS przekazał, że od stycznia do 31 grudnia 2025 r. do Zakładu wpłynęło przeszło 1 mln 156 tys. wniosków o rentę wdowią. Najwięcej wniosków zostało złożonych w woj. śląskim, mazowieckim i wielkopolskim, a najmniej w podlaskim, lubuskim i opolskim. Dzięki temu połączeniu świadczeń uprawnieni zyskali średnio 350,63 zł miesięcznie. Obsługa tzw. renty wdowią była jednym z kluczowych zadań, jakie ZUS zrealizował w 2025 roku.



„*Jeśli problemem jest zagrożenie Grenlandii ze strony Chin czy Rosji, to jako reszta NATO możemy to zagrożenie zredukować*”

Radosław Sikorski, szef MSZ

Ataki na polską infrastrukturę energetyczną nie powiodły się

Oprac. Karolina Wrońska
Warszawa

- Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej podczas grudniowych ataków - przekazał w czwartek premier Donald Tusk. Jak dodał, gdyby atak się powiódł, nawet 500 tysięcy ludzi zostałyby pozbawionych ciepła.

Premier Donald Tusk w czwartek spotkał się z szefami instytucji odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo energetyczne, m.in. służbami specjalnymi i ministrami energetyki odpowiedzialnymi za spółki energetyczne. Tematem spotkania były grudniowe ataki na infrastrukturę energetyczną. W ubiegłym tygodniu minister energii Mirosław Moryto poinformował, że w ostatnich dniach 2025 roku doszło do nieudanego ataku cybernetycznego na szereg instalacji produkujących energię elektryczną.

Szef rządu przekazał na konferencji prasowej po spotkaniu, że podczas grudniowych ataków infrastruktura krytyczna nie była zagrożona. - Chcę powiedzieć, że Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej. Ani przez chwilę nie była zagrożona infrastruktura krytyczna, czyli sieci przesyłowe - to, co decyduje o bezpieczeństwie całego systemu - podkreślił premier.



FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Donald Tusk: Chcę powiedzieć, że Polska obroniła się przed próbami destabilizacji infrastruktury energetycznej. Ani przez chwilę nie była zagrożona infrastruktura krytyczna, czyli sieci przesyłowe

Dodał, że próby ataków nie groziły „destabilizacją całego systemu czy blackoutu” w Polsce. - To w ogóle nie wchodziło w rachubę - zaznaczył Donald Tusk. Dodał, że zaatakowano punktowniektóre miejsca, w tym na przykład dwie elektrociepłownie. - Ataki te były wymierzone w system, który umożliwia zarządzanie prądem pochodzącym z OZE - doprecyzował.

- Potraktowaliśmy to oczywiście bardzo poważnie. (...) Systemy, które dzisiaj w Polsce mamy, okazały się skuteczne.

Ten atak praktycznie nie doprowadził do żadnych negatywnych konsekwencji - podkreślił premier. - Mogę powiedzieć na to, że nie zmarnowaliśmy tego czasu i że polski system energetyczny jest - na tyle, na ile to jest możliwe we współczesnym świecie - bezpieczny przeciw tego typu ingerencjom czy atakom. Ale nie możemy lekceważyć sygnałów - dodał.

Premier poinformował również, że nawet 500 tysięcy ludzi byłoby pozbawionych ciepła, gdyby atak się powiódł. - Ataki

nie były przesadnie masywne i nie dotyczyły np. systemów przesyłowych, ale mogły dezorganizować pracę farm wiatrowych i dotknęły także dwóch elektrociepłowni. (...) Ich charakter był lokalny - powiedział szef rządu. Jak dodał, istnieją przygotowania, że atak byłby przygotowywany od „wielu, wielu tygodni”.

Tusk podkreślił, że w Sejmie toczą się prace nad ustawą o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. - Ustaliliśmy, że porochnym sfinalizowaniu tej pracy w Sejmie będziemy prosili także Senat o niewprowadzanie poprawek - zapowiedział.

Dodał, że zwrócił się do ministra koordynatora służb specjalnych Tomasza Siemoniaka, który w czwartek spotkał się z prezydentem Karolem Nawrockim, żeby wraz z szefem MON „przekazali ten gorący apel do prezydenta (...), żeby nie zwlekał i podpisał ustawę”.

Wicepremier, minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski mówił we wtorek w radiu RMF FM, że wszystko wskazuje na to, że grudniowe ataki to rosyjski sabotaż, który miał zdestabilizować sytuację w Polsce. - To był największy od lat atak na infrastrukturę energetyczną z jasnym celem: doprowadzić do blackoutu - zaznaczył Gawkowski. Podkreślił, że „mamy dobrze przygotowane instytucje”, w związku z czym „nie należy panikować”. PAP

Ministrowie u prezydenta Nawrockiego. Tematami rozmów akceptacja budżetu i nominacje oficerskie

Marcin Koziestański
Warszawa

W Pałacu Prezydenckim odbyło się wczoraj spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego z ministrami odpowiedzialnymi za obronność i służby specjalne.

W czwartek przed godz. 11 w Pałacu Prezydenckim rozpoczęło się spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego z wicepremierem i szefem MON Władysławem

Kosiniakiem-Kamyszem, ministrem koordynatorem służb specjalnych Tomaszem Siemoniakiem oraz kierownictwem służb. Rozmowy dotyczyły m.in. nominacji oficerskich.

Budżet na 2026 r.

W spotkaniu wzięli udział szefowie czterech służb specjalnych: cywilnych - Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Agencji Wywiadu - oraz wojskowych: Służby Kontrwy-

wiadu Wojskowego i Służby Wywiadu Wojskowego.

Wniosek o rozmowę z prezydentem Kosiniak-Kamysz i Siemoniak złożyli pod koniec grudnia. Szef MON zapowiadał w czwartek na antenie Programu Pierwszego Polskiego Radia, że ministrowie oraz szefowie służb przedstawią prezydentowi plany działania służb wojskowych i cywilnych na ten rok. Dodał, że zwróci się także o szybką akceptację budżetu na 2026 r.

Nominacje oficerskie

Jednym z kluczowych tematów spotkania była kwestia opóźniających się nominacji na pierwszy stopień oficerski funkcjonariuszy ABW i SKW. Od początku listopada prezydent Nawrocki nie podpisał tych nominacji, tłumacząc to brakiem przekazania mu istotnych informacji dotyczących bezpieczeństwa państwa oraz odwoływaniem jego spotkań z szefami służb przez przedstawicieli rządu. PAP

USA – Dania bez przełomu. Spór o Grenlandię trwa

Marcin Koziestański
USA

Duńska dyplomacja podkreśliła, że spotkanie było szczere i konstruktywne, ale nie doprowadziło do zmiany stanowiska administracji Donalda Trumpa, która wciąż naciska na przejęcie wyspy.

Rozmowy w Waszyngtonie dotyczące przyszłości Grenlandii dobiegły końca. Jak poinformowała duńska dyplomacja, spotkanie miało otwarty i merytoryczny charakter, jednak nie przyniosło oczekiwanego przełomu. - Odbiliśmy szczerą, ale też konstruktywną rozmowę - przekazali przedstawiciele strony duńskiej. Minister spraw zagranicznych Danii Lars Lokke Rasmussen przyznał jednocześnie, że nie udało się zmienić stanowiska Stanów Zjednoczonych.

- Nie ma natychmiastowego zagrożenia ze strony Chin czy Rosji - podkreślił Rasmussen, odnosząc się do argumentów amerykańskiej administracji. Donald Trump wielokrotnie twierdził, że Grenlandia, pozo-



Lars Lokke Rasmussen i Vivian Motzfeldt powiedzieli po spotkaniu, że rozmowa była szczera i konstruktywna, ale nie udało się zmienić stanowiska Stanów Zjednoczonych

stając pod zwierzchnictwem Danii, może zostać przejęta przez jedno z tych państw. - Nie ma potrzeby, żeby USA przejmowały Grenlandię - zaznaczył szef duńskiej i grenlandz-

Wyspa objęta jest artykułem 5. Traktatu Północnoatlantyckiego, który gwarantuje jej ochronę ze strony wszystkich państw NATO

kiej delegacji podczas konferencji prasowej po spotkaniu.

- Nie udało się zmienić stanowiska USA. Wciąż mamy fundamentalny spór, dlatego będziemy kontynuować rozmowy - dodał duński minister.

Strona grenlandzka przypomniała, że wyspa objęta jest artykułem 5. Traktatu Północnoatlantyckiego, który gwarantuje jej ochronę ze strony wszystkich państw NATO.

Minister spraw zagranicznych Grenlandii Vivian Motzfeldt po-

informowała, że Nuuk (stolica wyspy - przyp. red.) jest zainteresowane dalszym wzmocnieniem współpracy z Waszyngtonem, jednak jednoznacznie sprzeciwia się włączeniu Grenlandii do USA. Przedstawiciele delegacji podkreślili również, że Dania jest w stanie zapewnić bezpieczeństwo Grenlandczykom, a wszelkie pomysły naruszające integralność terytorialną Grenlandii w ramach królestwa Danii są „całkowicie nie do przyjęcia”.

W celu złagodzenia sporu między Danią, Grenlandią i USA zapowiedziano powołanie specjalnej grupy operacyjnej „na wysokim szczeblu”, która ma zebrać się w ciągu najbliższych tygodni.

W rozmowach w Waszyngtonie uczestniczyli m.in. wiceprezydent USA J. D. Vance oraz sekretarz stanu Marco Rubio. Spotkanie odbyło się w cieniu kolejnych deklaracji Donalda Trumpa dotyczących przejęcia Grenlandii przez Stany Zjednoczone.

Jeszcze przed rozmowami amerykański prezydent ponownie przedstawił swoje żądania na platformie Truth Social.

Kolejny dźwig zawalił się na budowie w Tajlandii. Zginęły co najmniej 2 osoby

Adam Kielar
Tajlandia

Ledwo dzień po tragedii na torach kolejowych, w której życie straciły 32 osoby, kolejna maszyna runęła, tym razem przy budowie drogi. Według najnowszych informacji zginęły co najmniej dwie osoby.

Jak podaje katarska telewizja Al-Jazeera, czwartkowa (15 stycznia) katastrofa miała miejsce na przedmieściach stolicy Tajlandii, Bangkoku, w prowincji Samut Sakhon. Tym razem zawalił się dźwig wykorzystywany do budowy autostrady.

Maszyna runęła na drogę biegnącą poniżej. Przedstawiciele lokalnej policji powiedzieli agencji Reutera, że w katastrofie zginęły co najmniej dwie osoby, a pięć kolejnych zostało rannych.

W mediach społecznościowych pojawiły się nagrania tego zdarzenia.

Minister transportu Tajlandii Phiphat Ratchakitprakarn powiedział, że związek z tragedią ma ta sama firma budowlana



Dźwig zawalił się przy budowie drogi w Tajlandii. Zginęły co najmniej dwie osoby

(Italian-Thai Development), co ze środowym zawaleniem się dźwigu na północnym wschodzie kraju.

14 stycznia inny dźwig spadł na linię kolejową, w momencie gdy przejeżdżał tamtędy pociąg pasażerski. W wyniku tego zdarzenia zginęły 32 osoby, a ponad 60 zostało rannych.

Wypadki budowlane nie są rzadkością w Tajlandii. Ich główną przyczyną jest lekceważenie przepisów bezpieczeństwa. PAP

REKLAMA

0011460131

4 Design Days 2026 - dekada rozmów o architekturze i przyszłości miast

W dniach 22-23 stycznia 2026 r. Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach ponownie stanie się stolicą polskiej architektury, designu i debaty o jakości przestrzeni. Jubileuszowa, 10. edycja 4 Design Days będzie nie tylko okazją do świętowania dekady istnienia wydarzenia, ale także momentem podsumowania zmian, jakie zaszły w podejściu do projektowania miast, budynków i wnętrz od pierwszej edycji w 2016 roku. Przez dziesięć lat 4DD konsekwentnie budowało przestrzeń dialogu pomiędzy architektami, projektantami, inwestorami, samorządowcami i przedstawicielami biznesu – środowiskami, które realnie wpływają na wygląd i funkcjonowanie naszych miast.

Goście specjalni i merytoryczne wyzwania

Tegoroczną odstonę wydarzenia uświetnią dwie międzynarodowe osobowości świata architektury. Do Katowic przyjedzie David Sim – szkocki architekt i urbanista, autor głośnej książki „Soft



City” („Miasto życzliwe”), uznawanej za jedną z najważniejszych publikacji ostatnich lat poświęconych projektowaniu miast przyjaznych człowiekowi. Sim od lat przekonuje, że dobra architektura zaczyna się od skali człowieka, relacji społecznych i jakości codziennych doświadczeń użytkowników przestrzeni.

Drugim gościem specjalnym będzie Jonas Norsted, współzałożyciel norweskiej pracowni Atelier Oslo, znanej

z realizacji opartych na adaptacji i przekształcaniu istniejących budynków. W jego dorobku znajdują się m.in. nagradzana Biblioteka Deichmana w Oslo czy przebudowy ważnych obiektów publicznych. Norsted w swoich wystąpieniach często podkreśla, że przyszłość architektury leży nie w burzeniu, lecz w mądrym przetwarzaniu tego, co już istnieje.

Obaj architekci wezmą udział w kluczowych deba-

tach poświęconych jakości przestrzeni, odpowiedzialnemu projektowaniu i wyzwaniom, przed jakimi stoi współczesne miasto.

Program skupiony na realnych problemach

Program jubileuszowej edycji skoncentruje się na najbardziej aktualnych tematach branży: zrównoważonym budownictwie, kryzysie klimatycznym, odpowiedzialności społecznej projek-

tantów, innowacjach technologicznych oraz nowych kierunkach w architekturze i projektowaniu wnętrz. Dyskusje będą dotyczyć m.in. tego, jak projektować budynki odporne na zmiany klimatu, jak tworzyć przestrzenie dostępne dla różnych grup użytkowników oraz jak łączyć estetykę z funkcjonalnością.

Wśród potwierdzonych prelegentów znaleźli się czołowi polscy twórcy i eksperci, m.in. Tomasz Konior, Robert Konieczny, Przemysław Łukasik, Agnieszka Kalinowska-Sołtys, a także przedstawiciele świata biznesu, administracji i rynku nieruchomości. Łącznie program obejmuje już ponad 100 nazwisk z różnych obszarów branży.

Wieczór najlepszej architektury

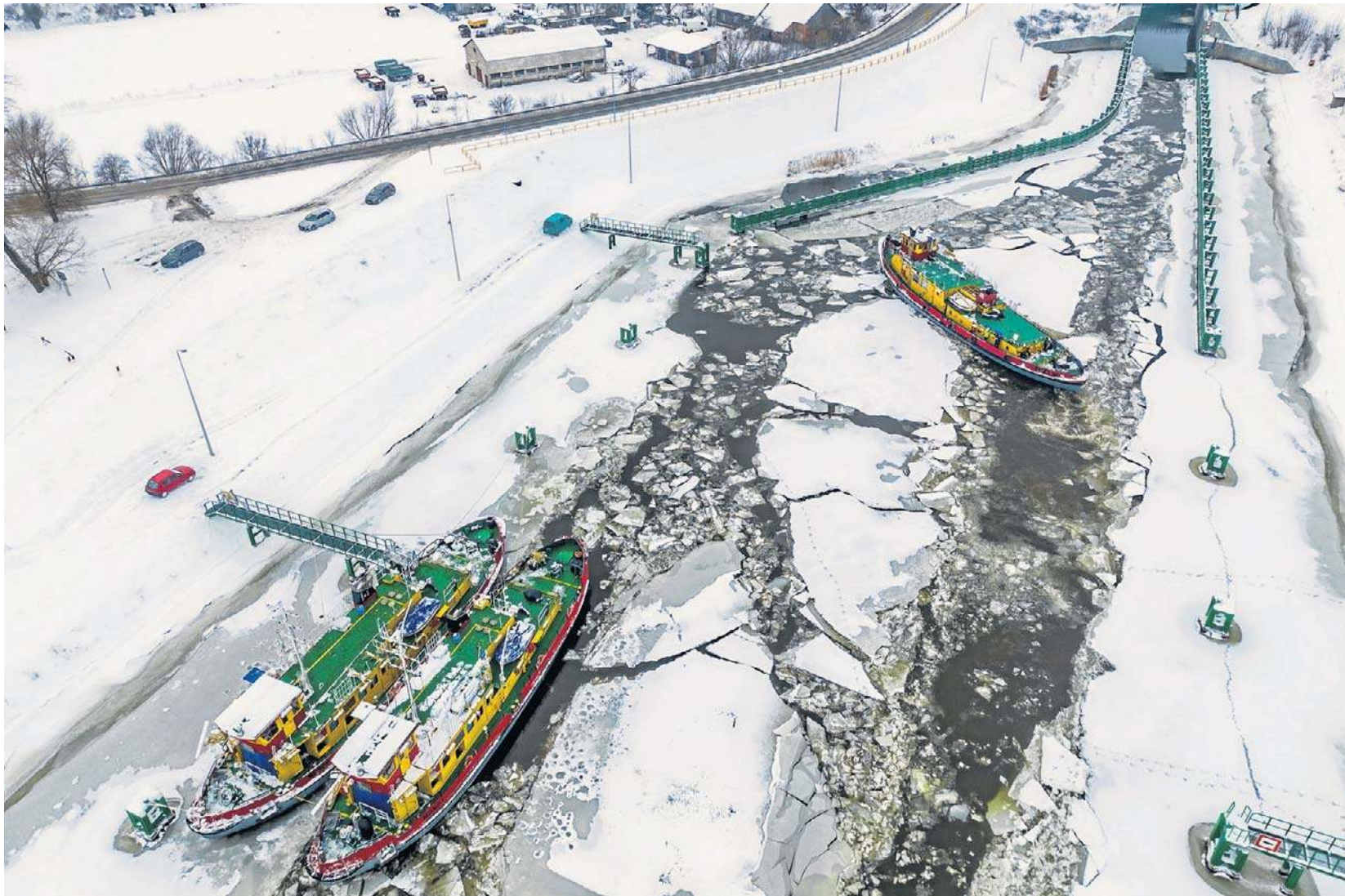
Integralnym elementem 4 Design Days będzie finał konkursu Property Design Awards. 22 stycznia o godz. 19.00 odbędzie się uroczysta Gala, podczas której poznamy laureatów nagród w kategoriach architektonicznych i wnętrzarskich oraz zdobywców

specjalnych tytułów dekady, podsumowujących ostatnie dziesięć lat polskiej architektury. Drugiego dnia wydarzenia wręczone zostaną także nagrody w konkursie Dobry Design, promującym projekty łączące estetykę, funkcjonalność i odpowiedzialność środowiskową.

W ramach wydarzenia zaplanowano również Property Forum: Pomysł na Miasto – spotkanie poświęcone kierunkom rozwoju polskich miast, w którym udział wezmą deweloperzy, samorządowcy, urbaniści i eksperci rynku nieruchomości. Dyskusje dotyczyć będą m.in. transformacji terenów poprzemysłowych, jakości przestrzeni publicznych oraz roli inwestycji w budowaniu atrakcyjnych i funkcjonalnych metropolii.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days potwierdza, że Katowice na początku roku ponownie staną się miejscem ważnych rozmów o przyszłości przestrzeni, w której żyjemy i pracujemy. Rejestracja uczestników trwa na stronie organizatora.

FOTOkomentarz tygodnia



**14 STYCZNIA,
POMORZE**

Łącznie pięć lodołamaczy zaczęło kruszyć lód o grubości nawet 10 cm na odcinku Wisły na Pomorzu. To ważne, gdyż zatory lodowe działają jak tama uniemożliwiając wodzie spływanie do morza. Ale walkę z mrozem toczyła w tym tygodniu cała Polska. Występująca na drogach gołoledź skomplikowała komunikację kołową oraz transport pociągami. Zamarzły największe polskie jeziora: Śniardwy, Mamry i Niegocin. W skrócie - zima XXI wieku

FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI



12 STYCZNIA, IRAN. Trwają zamieszki w całym Iranie przeciwko reżimowi ajatollahów. Te największe w tym wieku protesty w tym kraju wspierają USA, Donald Trump niemal otwarcie zapowiada interwencję zbrojną w Teheranie. Ale ajatollah Ali Chamenei nie zamierza się poddawać. Wytrzyma presję?

FOT. PAP/EP/NEIL HALL



13 STYCZNIA, WARSZAWA. Jedna z tych dwóch pań miała stanąć na czele Polski 2050, ale drugą turę wyborów w partii anulowano. W polityce droga od powagi do śmieszności potrafi być krótka

FOT. PAP/RADEK PIETRUSZKA



12 STYCZNIA, CHINY. W Harbinie odbył się 42. Festiwal Śniegu i Lodu. Ponad 4 mln widzów w jego trakcie miało okazję podziwiać spektakularne prace wykonane z typowo zimowych surowców

FOT. ZHANG TAO/XINHUA NEWS/EAST NEWS



Ferie.

MROŹNO I BIAŁO. TAKIEJ ZIMY DAWNO NIE BYŁO

Sypnęło śniegiem, ścisnął mróz – mamy prawdziwą zimę. Jedni narzekają, inni wręcz przeciwnie. W niektórych województwach właśnie zaczynają się ferie, więc cieszą się zwłaszcza ci, którzy ruszają na zimowy wypoczynek. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, właściciele nadmorskich pensjonatów przygotowują gościnne pokoje, ale też zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat

Dorota Kowalska



Za oknem świat jak w bajce. Dzieci się cieszą, ale kierowcom jeździ się trudno

Świat wokół wydaje się bajkowy, wszystko pokrywa biały puch. Kiedy z psakiem wybieram się rano do lasu, mijają nas zazwyczaj ci sami ludzie z tymi samymi czworonogami. Od kilku tygodni jest inaczej – na lepszych ścieżkach tłum.

– Marszałkowska! – wybuchła śmiechem koleżanka, właścicielka owczarka niemieckiego o wdzięcznym imieniu Koks.

W śniegu po kolana po lesie spacerują całe rodziny. Maluchy zjeżdżają z górek na sankach, dorośli szusują na nartach biegowych, psiaki z nosami w zaspach próbują wytropić zapach leśnej zwierzyny. Między drzewami wyrosły śnieżne bałwany z marchewkami zamiast nosa,

ziemniakami zamiast guzików i oczu. Zabawa, śmiech.

– Mnie tam do śmiechu nie jest – wzrusza ramionami nasz osiedlowy gospodarz, który od 6.00 rano odśnieża osiedlowe dróżki.

– Robotą na okrągło, bo co odgarnę, zasypie znowu – narzeka. Do pomocy ściągnął syna, który przed pracą macha łopata razem z nim.

To prawda, zima na całego. Nie tylko w Polsce – prawie 80 proc. Europy pokryte jest białym puchem. Meteorolodzy z serwisu Ventusky przygotowali specjalne mapy, które pokazują, jak zmieniła się śnieżna krajobraz w Europie od 2009 do 2026 roku. Wybrano jedną datę – 8 stycznia.

„Pokrywa śnieżna była znacznie większa tylko w 2010 i 2009 roku, natomiast podobny zasięg odnotowano w 2017 roku. W kontekście ostatnich 20 lat obecna pokrywa śnieżna plasuje się na czwartym miejscu” – wyjaśniono.

Skąd ten zimowy armagedon? Jak tłumaczą eksperci, powódów jest przynajmniej kilka. Pierwszy – nad Europą utrzymuje się silny wyż polarny, który sprowadza wyjątkowo zimne masy powietrza z nad Arktyki. Drugi – to La Niña (z hiszpańskiego „dziewczynka”). Co to takiego? Obniżenie temperatury powierzchniowych wód Oceanu Spokojnego. Podczas występowania tego zjawiska pasaty przybierają na sile.

Zimne prądy morskie przemieszczają się wzdłuż równika i zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Wówczas temperatura powierzchniowych wód oceanicznych zmniejsza się o 4 stopnie poniżej normalnych wartości. La Niña wpływa na globalne prądy atmosferyczne i powoduje nietypowe warunki pogodowe w Europie, w tym zwiększoną liczbę opadów śniegu i silne mrozy. Więc mamy, co mamy. Jedni się cieszą, inni machają łopatami albo stoją uwięzieni w kilometrowych korkach.

Ferie czas zacząć

Ciesz się ci, którzy planują swoje urlopy. W tym roku ferie zimowe po raz pierwszy będą

podzielone na trzy tury, rozpoczną się 19 stycznia, a więc już w ten poniedziałek, i potrwają do 1 marca.

Adam razem z rodziną – żona, dwójka dzieci – od lat jeździ w ferie zimowe do Szczyrku. Wszyscy szusują na nartach, więc pierwszy tydzień przerwy zimowej spędzają w górach. Jest drogo, ale mają swój ukochany pensjonat, zaprzyjaźnili się z gospodarzami, u których wynajmują dwa pokoje.

– Płacimy za noclegi może nie po starych cenach, ale stunkowo mało, a to na pewno obniża nam koszty pobytu. Możemy korzystać z kuchni, więc śniadania, kolacje, a czasami obiady przygotowujemy sami. Nie byłoby nas stać, żeby całą czwórką przez tydzień żywić się na mieście – tłumaczy.

Tym bardziej, że trzeba opłacić wyciągi. Czasami przekąsić coś na trasie.

– Ale nie wyobrażamy sobie, żeby nie pojechać w ferie na narty. Dzieci by tego nie przeżyły – wybucha śmiechem Adam. – Uwielbiają narty. Zresztą nam też zależy, żeby się trochę ruszały, były sprawne fizycznie, nie siedziały godzinami z nosami w smartfonach – dodaje.

Spędzają ten czas intensywnie. Rano śniadanie, potem na wyciąg, wracają do pensjonatu na obiad, który przygotowują razem, po południu znowu narty. Jeśli dzieciaki chcą odpocząć od stoku, robią sobie wycieczki albo idą na basen. Wracają do domu trochę zmęczeni, ale szczęśliwi.

Drugi tydzień ferii syn i córka odpoczywają w mieście. Spotykają się z kolegami, chodzą do kina, zajmują się swoimi sprawami.

Z badań wynika, że zima 2026 może być jednym z najbardziej intensywnych sezonów od lat. Polska Organizacja Turystyczna zapytała na przełomie listopada i grudnia dorosłych Polaków, czy w okresie od 24 grudnia 2025 roku do 1 marca 2026 roku planują wyjechać gdzieś na wypoczynek. 51 procent powiedziało – tak.

Ponad jedną czwartą wszystkich respondentów (27 procent) spędzi zimowy urlop wyłącznie w Polsce, co dziesiąty (11 procent) wyjedzie za granicę, a 7 procent z nas będzie tu i tu.

W Polsce najchętniej wybieramy góry (31 procent badanych), nad polskie morze lub do innego miasta w kraju zamierza wyjechać co piąty badany (19 procent). W kraju najchętniej zimą wypoczywamy w gronie rodzinnym – tak deklaruje 77 procent ankietowanych, 9 procent wybierze się na krajowy wyjazd zimowy samotnie.

Chcemy głównie odpocząć, zrelaksować się, ale też zwiedzać, uprawiać sport „z dala od cywilizacji i tłumów”.

Tych, którzy zadeklarowali, że zimą polecą za granicę, POT zapytał, dlaczego nie chcą od-

począć w kraju. Co trzeci pytany wskazał, że „chciał pojechać do tego, konkretnego miejsca”, 29 procent „chciało mieć gwarancję dobrej pogody”, a 23 procent było zdania, że „wyjazd za granicę w standardzie, jakiego oczekuję, jest tańszy niż w Polsce”.

Także według danych portalu rezerwacyjnego Triverna.pl w tym roku liczba rezerwacji jest o 26 procent wyższa niż rok temu. Morze odpowiada już za 49,8 procent z nich, góry, choć taniej, notują lekki spadek udziału – z 44,9 do 42 procent rezerwacji.

– Widać wyraźnie, że część klientów szuka dziś alternatywy dla zatłoczonych kurortów górskich. Morze zimą przestaje być egzotyką, a coraz częściej jest świadomym wyborem – także dla rodzin – mówi Krzysztof Dębski, Chief Marketing Officer w Triverna.pl.

Choć wciąż dominują wyjazdy krajowe, rośnie znaczenie rezerwacji zagranicznych. W ubiegłym roku stanowiły one zaledwie 2, dziś to już 5 procent wszystkich rezerwacji, a ich udział w wartości sprzedaży jest jeszcze wyższy – zagraniczne ferie są bowiem wyraźnie droższe.

Gdzie jechać?

Tak więc góry i morze. Górale już zacierają ręce i liczą dudki, ale też ferie zimowe to dla nich dobry czas. Śnieg? Jak najbardziej, on przyciąga turystów. W Zakopanem jest go nawet w tym roku za dużo. Zabrany z ulic trafił na specjalnie wyznaczone place składowe, teraz ciężarówka regularnie wywożą go z miasta.

Nie tylko drogowcy mają co robić, ratownicy górscy też szykują się na turystyczny sezon: ruch w górach zaczął się już od świąt Bożego Narodzenia, potem było święto Trzech Króli, teraz zaczynają się ferie.

Tymczasem turyści wciąż nie przestrzegają zasad. Grzech pierwszy: Idą w góry i nie sprawdzają prognozy pogody. Patrzą w niebo, świeci słońce, więc ubierają buty i ruszają przed siebie.

Grzech drugi: Są nieodpowiednio ubrani. Wchodzenie na szlaki w kłapkach czy butach na obcasach to skrajne przypadki, chociaż takie też się zdarzają. Tymczasem do górskiej wycieczki w zimie trzeba naprawdę dobrze się przygotować.

Grzech trzeci: Brak racjonalnego myślenia.

„Niestety, nowoczesność ma drugą, ciemną stronę – psuje ludzi, rozleniwia ich i sprawia, że często nie potrafią realnie ocenić sytuacji, a co za tym idzie, mają nierealne wymagania” – pisze Beata Sabała-Zielińska w swojej nowej książce „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć”.

Świat idzie naprzód. Czasy telefonów na korbkę w schroniskach górskich i awaryjnych ra-

dzieckich UAZ-ów, którymi jeździł GOPR, już się na szczęście definitywnie skończyły. Dziś mamy błyskawiczną formę powiadomienia o wypadkach za pomocą telefonów komórkowych, które ma w kieszeni każdy turysta, a polskie ratownictwo górskie jest obecnie jedną z najlepiej wyszkolonych i wyposażonych służb specjalistycznych na świecie. Dysponuje skuterami śnieżnymi, quadami, nowoczesnymi samochodami terenowymi 4x4 i śmigłowcem. Górcy ratownicy ochotnicy stanowiący 90 procent składu kadrowego GOPR i TOPR, 10 procent to ratownicy zawodowi. Nie mają najlepszego zdania o ludziach, którzy chodzą po górach.

„W dawnych czasach turysta, który nie przygotował się do wycieczki górskiej, ponosił tego konsekwencje. (...) Teraz jeszcze się dobrze nie ściemni, a turyści już wyjmują komóreczki i dawaj dzwonić do TOPR-u z prośbą o ratunek, przy czym ratunek ma polegać na oświetleniu im drogi. I to są sytuacje, w których my dostajemy szafa - przyznają ratownicy - bo to jest dokładnie tak, jakby ktoś, komu uciekł w nocy autobus, zadzwonił na pogotowie ratunkowe z żądaniem odstawienia go do domu z rąk tego, że jest ciemno, zimno i żona się niepokoi” - pisze Beata Sabała-Zielińska. I dalej cytuje ratowników TOPR-u, którzy podzielili turystów na grupy. Ich nazwy mówią same za siebie: rozszczeniowy żółtodziób, profesjonalny leń, meteorolodzy telefoniczni, przemądrzały gapie.

Polskie morze też staje się coraz atrakcyjniejsze zimą. Tu zostają spacerować, zwiedzanie, relaks w nadmorskich SPA.

Ci, którzy tęsknią za słońcem, wyjeżdżają dalej. Jak mówią właściciele biur podróży, na liście zimowych hitów czy miejsc najchętniej odwiedzanych przez Polaków w styczniu i lutym są Egipt, Wyspy Kanaryjskie, Malta, Cypr.

Marta, mama nastoletniej Elizy, zawsze szuka cenowych „peretek” i zimą, w czasie ferii jest ich całkiem sporo. Obie z córką uwielbiają zimowe wyjazdy tam, gdzie ciepło i bez śniegu.

- To nie musi być wyjazd na dwa tygodnie, zazwyczaj lecimy gdzieś na tydzień. Tak ostatnio byliśmy w Egipcie, a wcześniej na Teneryfie. Wracamy z takich wyjazdów naładowane słońcem i dobrą energią - tłumaczy.

Nie wszystkich jednak stać nawet na tygodniowy wyjazd w góry, nad morze czy za granicę. Dlatego w każdej właściwie miejscowości na czas ferii zimowych kina, teatry, ośrodki i domy kultury przygotowały dla młodych ludzi spektakle, warsztaty czy spotkania z ciekawymi gośćmi. Otwarte są lodowiska, baseny, hale spor-

towe. Wiele szkół decyduje się na organizację półkolonii, chociaż tu o miejsce trzeba zawalczyć dużo wcześniej.

Anna, 44 lata, księgowa, matka dwóch córek w wieku szkolnym.

- Nie wyjeżdżam z córkami na ferie zimowe, ale na rozszerzony weekend w ich śródku. Biorę dwa dni wolnego, ruszamy w piątek rano, wracamy w poniedziałek po południu. Najczęściej w góry, ale zdarzało nam się jechać nad morze. W pozostałe dni ferii córki chodzą na półkolonie do szkoły, są bardzo zadowolone - opowiada. - Ale mamy też inne pomysły na ten czas. W zeszłym roku jedna z córek pojechała ze swoją szkolną koleżanką do mojej siostry, która mieszka we Wrocławiu, a potem koleżanka zabrała ją do swojej babci na wieś, w ten sposób minęły jej całe ferie - opowiada. Takie koleżeńskie wymiany doskonale się sprawdzają. Druga córka też je przetestowała.

A że zima i śnieg, nawet lepiej. Bo do saneczkowych zjazdów nadają się nawet niewielkie górki, a na nartach biegowych można szusować także po nizinach.

Zimno już było

Bo umówmy się, takie zimy jak obecna, a nawet dużo, dużo sroższe już się w Polsce zdarzały. Jedną z najbardziej ekstremalnych była ta na przełomie 1928/1929 roku, gdy termometry w Żywcu spadły poniżej minus 40 st. C, a w wielu miejscach notowano jeszcze niższe, nieoficjalne odczyty. Zasy śnieżne sięgały 2 metrów, komunikacja miejska została sparaliżowana, zdarzały się przerwy w dostawach prądu. Podobnie było na przełomie 1939/1940, gdy w Siedlcach zanotowano rekordowe minus 41 stopni, a mroz utrzymywał się przez ładnych kilka tygodni.

W grudniu 1962 roku „Gazeta Krakowska” donosiła: „Prawdziwy najazd świątecznych gości przeżywają górskie miejscowości wypoczynkowe. Nie obyło się jednak bez trudności i komplikacji. Siarczyści mroz i zasy śnieżne były przyczyną licznych zakłóceń komunikacyjnych. Wszystko zakończyło się dobrze i w przeddzień świąt nasze wczasowiska rozbrzmiewają wesołym gwarem”.

To był jednak zaledwie przedsmak tego, co nastąpiło w całej Polsce po Nowym Roku. Sypnęło tak mocno, że już w noworoczny wieczór ruch na wielu drogach praktycznie ustał. Opóźnienia w dostawach węgla z kopalń do elektrowni zagrażały paraliżem energetycznym.

Polska nie była wyjątkiem. We Francji Boże Narodzenie roku 1962 było najmroźniejsze od 83 lat. W Madrycie termometry wskazywały minus 6 stopni, a w Barcelonie leżało 10



Wróciły dawno zapomniane atrakcje: kuligi i przejażdżki saniami zaprzężonymi w konie

cm śniegu. W USA zima zaatakowała już w połowie grudnia. Nawet Florydę ścisnął kilkunastostopniowy mroz, a plantacje cytrusów znalazły się pod śniegiem. Mandarynki przeznaczone na świąteczny zbiór przymarzły do drzew.

W Polsce taka zima trzymała przez cały styczeń i luty. Na kolei tory pękały od mrozu, rwały się sieci trakcyjne, pługi śnieżne grzęzły w zaspach. Najstarsi kolejarze nie pamiętali takiej zimy.

Zawiadowca z Płaszowa mówił: „Kto tego nie widział, nie uwierzy. Dwa parowozy nie mogły uciągnąć dwóch wagonów. Na mrozie stwardniały smary, koła grzęzły w zaspach”. Po dwóch dniach sytuacja została opanowana, to znaczy, że np. pociąg z Berlina spóźnił się 300 minut, a nie 500, jak dwa dni wcześniej, a szczeciński tylko 3 godziny.

Podobne sytuacje powtarzały się w ciągu tej zimy kilkakrotnie. Śnieżyce były tak intensywne, że państwowe służby nie dawały sobie rady. Do akcji wkroczało więc społeczeństwo. „Na front zimy” rzucono nie tylko załogi zakładów pracy, ale też uczniów, studentów i zwykłych mieszkańców.

W 1978 roku, czyli 16 lat wcześniej, znowu z odsieczą przybyło pospolite ruszenie. Ówczesna prasa przedstawiała

to oczywiście jako solidarny zryw ludzi pracy. W rzeczywistości stojąca już na skraju zapaści „dziesiąta gospodarka świata” nie była w stanie poradzić sobie z żywiołem. Ludzie musieli sami złapać za szufle, bo inaczej po prostu nie dałoby się żyć.

Prasa donosiła, że w całym kraju „trwa wyteżona batalia o przywrócenie normalnego rytmu życia”. Efekty tej batalii nie były jednak imponujące, bo choć mrozy dokuczały dużo mniej niż w roku 1963, to jednak i tym razem nad cały kraj co kilka czy kilkanaście dni nadciągały fale śnieżyc, o czym dobitnie świadczyły choćby same tytuły z gazet: „Znowu opady śniegu”, „Rekordowe opady śniegu”, „Zima ponowiła atak”, „A zima nie chce ustąpić”.

Zadowolona była jedynie młodzież szkolna. „GK” informowała: „Zakłócenia w komunikacji kolejowej i drogowej spowodowały podjęcie przez ministra oświaty i wychowania decyzji o wstrzymaniu powrotu młodzieży przebywającej na zimowiskach. W Nowosądeckiem na przedłużonych ferii pozostało ponad 1300 dziewcząt i chłopców z różnych stron kraju. Ich wyjazd będzie możliwy dopiero za kilka dni, gdy skutki kolejnego ataku zimy zostaną przezwyciężone”.

Kiedy w marcu przyszedł czas na podsumowanie, zauważono przytomnie, że zima 1978/1979 była wprawdzie nieco chłodniejsza i dużo bardziej śnieżna, zwłaszcza na północy Polski, niż zimy poprzednie, jednak szczególnie się nie wyróżniła. Przypomniano zimą 1928/1929, uważaną za najchłodniejszą w XX wieku, i wojenną zimą 1939/1940. Również po roku 1980 mrozy i śnieżyce bynajmniej nie odeszły do historii. Do surowych należały zimy 1984/1985 i 1995/1996.

Można więc powiedzieć, że w naszym klimacie mniejsze lub większe zimy stulecia zdarzają się co kilka lub kilkanaście lat.

Cieszymy się białym śniegiem

W tym roku najgorzej było chyba 30 grudnia. Tego dnia, na wysokości Rychnowa w woj. warmińsko-mazurskim, trasę S7 zablokowały w obu kierunkach tiry, które nie mogły podjechać pod wzniesienia. Ludzie utknęli w kilometrowych korkach. W portalach społecznościowych pisali, że nie mogą skorzystać z toalet, nie mają co jeść i pić. Niektórym kończy się paliwo. Policja i służby drogowe stworzyły korytarz życia, którym samochody osobowe mogły z obu stron dotrzeć do Ostródy. Tam, w Urzędzie Miasta, przygotowano dla kierowców i pasażerów posiłki, pomieszczenia, w których mogli odpocząć. Tym, którzy zostali w swoich autach, policjanci dowozili ciepłą herbatę.

Mniej więcej w tym samym czasie wieś Dylewko koło Ostródy została odcięta od świata. Spadło tam około 50 cm śniegu, wiatr tworzył miej-

scami metrowe zasy. We wsi nie ma sklepu, najbliższy punkt z zakupami jest oddalony o dwa kilometry.

- Sytuacja poprawia się, ale wciąż jest poważna. Słyszałem, że ktoś próbował iść do tego sklepu na piechotę. Do Dylewka dojeżdżał też mężczyzna sprzedający pieczywo, nikt go tutaj nie widział od poniedziałku. Ludzie jedzą jeszcze to, co zostało ze świąt, mają zamrożony chleb - mówił w mediach jeden z mieszkańców miejscowości.

Inny przyznał, że nie wychodził z domu przez trzy dni, ale w końcu musiał się przekonać i jechać odebrać siostrę ze szpitala.

Mieszkańcy Dylewka porównywali obecną zimą do lat 60. i 70., ale przyznawali: wtedy zasy bywały jeszcze wyższe. Nie narzekali.

Bo nie ma co narzekać, trzeba cieszyć się białym śniegiem. Nie wiadomo, ile spadnie go za rok. W dzielnicy, w której mieszkam, za łopaty chwytają nie tylko gospodarze osiedli, ale i właściciele domów jednorodzinnych. Agata pomaga mamie, która prowadzi mały osiedlowy sklep. Razem z mężem odśnieżają podwórko i chodnik przed posesją. Obok biega dwóch małych chłopców, to synowie Agaty.

- Antoś nie wchodzi w zasy, bo śnieg wpadnie ci do butów - to Agata.

- Mamo, mamo! Śnieg! - woła malec i kładzie się w zaspie. Za chwilę dołącza do niego brat. Tarzają się w białym puchu, biją śnieżkami, ślizgają na butach.

Agata macha ręką. Dzieciaki takiej zimy jeszcze nie przeżyły, więc niech szaleją!

*MOŻNA NAWET POWIEDZIEĆ,
ŻE W NASZYM KLIMACIE
MNIJSZE LUB WIĘKSZE
ZIMY STULECIA ZDARZAJĄ SIĘ CO
KILKA LUB KILKANAŚCIE LAT*

– Pokrywa śnieżna to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Ale najważniejsze pytanie brzmi: kiedy i jak będzie topniał, bo od tego zależy zarówno ryzyko roztopów, jak i wiosenny zapas wody – mówi klimatolog Rafał Maszewski

Anita Czupryń

RAFAŁ MASZEWSKI: WYŻ ROSYJSKO-SKANDYNAWSKI MOŻE NAS JESZCZE TEJ ZIMY MOCNO ZMROZIĆ

Mamy zimą jak za dawnych lat, czy jednak coś ją odróżnia od dawniejszych zim? Meteorologiczna zima zaczęła się w grudniu, a grudzień był miesiącem cieplejszym od normy. Ochłodziło się dopiero pod koniec miesiąca, w trzeciej dekadzie; zima przyszła w święta i po świętach. Generalnie przez większą część grudnia nie było za bardzo zimowo, było dość ciepło. Teraz mamy mróz, miejscami sporo śniegu. To nie jest na razie żadna zima stulecia. Temperatura jest co prawda poniżej normy wieloletniej z okresu 1991-2020, zarówno w III dekadzie grudnia, jak i dotychczas w styczniu. Niektóre doby przyniosły temperaturę nawet 8-10 stopni poniżej normy. To wyraźna ujemna anomalia, która w tym naszym już cieplejszym klimacie nie zdarza się często. Zobaczymy, co będzie dalej, bo dopiero zbliżamy się do połowy zimy, a druga połowa jeszcze przed nami. Jeżeli ta druga część okaże się bardzo ciepła, to ta dotychczasowa zima pójdzie trochę w zapomnienie, ale na razie poczekajmy. Jesteśmy też przed statystycznie najzimniejszym okresem roku, czyli III dekadą stycznia i początkiem lutego; wtedy średnio przypadają najniższe temperatury. Zobaczymy, jak będzie w tym roku, ale obecnie skłaniam się do dominacji przynajmniej do końca stycznia bardziej mroźnej zimy, do której przyczyni się wyż rosyjsko-skandynawski.

Media ogłaszają, że temperatury dochodzą do nawet minus 20 stopni i to nie w górach, tylko na nizinach,

na Warmii, na Pomorzu. Jak pan jako klimatolog patrzy na takie komunikaty? To sensacja czy ważny sygnał? Sensacja na pewno to nie jest. Gdyby to był październik albo kwiecień, to pewnie byłaby. Ale jest styczeń i temperatury rzędu kilkunastu stopni mrozu, nawet minus 20, w naszym klimacie, mimo że jest on cieplejszy, mogą się jak najbardziej zdarzać. Co kilka lat takie wartości mogą się pojawiać. Nawet minus 30 może się pojawić. W 2006 roku mieliśmy w Toruniu minus 32 stopnie, więc nie zdziwiłbym się, gdyby znów pojawiły się zbliżone wartości.

Ale to było jednak dwadzieścia lat temu.

To całkiem niedawno, patrząc na klimat. Wtedy też już się ocieplało, może nie w tak agresywnej formie jak teraz, ale jednak. Na pewno to jest anomalia, czyli temperatury poniżej normy, tej średniej z lat 1991-2020. Ale nie ma powodu robić z tego sensacji: jest styczeń, zima. Śnieg nawet 20-30 centymetrów i temperatura minus 15, minus 20 na nizinach są możliwe i po prostu się zdarzają. Coraz rzadziej, to prawda, ale się zdarzają. My też się odzwyczailiśmy, bo od 2013 roku praktycznie większość zim była bardzo ciepła. Jakieś ataki mrozu się pojawiały, ale rzadko. I dlatego trudno nam to dziś przyjąć jako normalność.

Ostatnie zimy były bez śniegu, prawda?

Tak. W niektórych sezonach śniegu prawie nie było. W sezonie zimowym 2019/2020 w wielu miejscach Polski zachodniej/południowo-

chodniej nie pojawił się nawet jeden centymetr. Teraz miejscami na Warmii, Mazurach i wschodnim Pomorzu mamy 30-50 centymetrów śniegu, są zamiecie i zawieje śnieżne. To przypomina takie minizimy stulecia, jak je kiedyś pamiętamy. Ale to nadal nie jest wielka sensacja; u nas to jest możliwe. Jeśli ktoś uwierzył niektórym politykom czy komukolwiek innemu, że zim już nie będzie, że śniegu już nie będzie, a rosnące palmy to kwestia niedalekiej przyszłości, to teraz widzi, że to nieprawda. Prawdą jest, że mroźnych i śnieżnych zim jest coraz mniej.

Skąd ta zima się wzięła? Co było jej silnikiem: wyż, niż, napływy powietrza? I czy nie upraszczamy, mówiąc po prostu: nadeszła zima?

W naszym kraju główny czynnik to cyrkulacja atmosferyczna. W chłodnym okresie roku ona ma największy wpływ, bo tak jesteśmy położeni. W zimie, gdy wieje z południa czy z zachodu, zwykle mamy wyższe temperatury, takie bardziej jak w Wielkiej Brytanii. Natomiast gdy powieje z północy albo ze wschodu, to w tym chłodnym okresie, od listopada do marca, bardzo często pojawia się mróz, śnieg i zima w klasycznym wymiarze. Większość poprzednich

zim charakteryzowała się cyrkulacją zachodnią: niżę znad Atlantyku atakowały Europę, nasuwały się nad Skandynawię i Europę Środkową, a z zachodu i południowego zachodu kierowały do nas stosunkowo ciepłe, wilgotne masy powietrza polarnego, a nawet zwrotnikowego znad Atlantyku. Zimne powietrze było blokowane daleko na północy, nad Azją, nie miało szans się u nas zadomowić, bo Atlantyk był aktywny, wir polarny silny. Dodatkowo, co istotne, nie było wyżu, który zatrzymałby te niżę, wyżu nad Skandynawią czy nad Rosją. A takie wyżę często przynoszą mroźne masy powietrza. Moje badania nad cyrkulacją atmosferyczną wskazują, że w okresie zimy słabnie mroźna cyrkulacja wschodnia, a wzmacnia się łagodna termicznie zachodnia. W tym roku jest inaczej i tej zimy jest inaczej, bo pojawia się wyż rosyjsko-skandynawski i może on nas jeszcze tej zimy mocno zmrozić... „Atlantyk” jest spokojniejszy. Na północno-wschodnim Oceanie Atlantyckim częściej rozbudowują się wyżę, czyli tam, gdzie o tej porze roku najczęściej powinny być niżę. Nawet jeśli znad Atlantyku przebiją się w naszym kierunku niżę, to są one blokowane przez wspomniany wyż na wscho-

dzie Europy. Cyrkulacja jest w 2025 i na początku 2026 r. nieco inna, preferująca niższe temperatury. Zresztą rok 2025 był inny pod względem pogody. Był chłodniejszy od 2024 roku, który z kolei był rekordowo ciepły. Mimo to rok 2025 i tak był cieplejszy od normy...

Czytałam, że klimatolodzy mówią tu o blokadzie, czyli pogodzie, która stoi w miejscu.

O blokadzie możemy mówić właśnie na Atlantyku i okresami na wschodzie Europy. Ten wyż blokuje niżę, które kiedyś sunęły nad Europę, przynosząc ciepło i deszcz. Taka blokada wyżowa bywa długotrwała. I wtedy zależnie od tego, po której stronie układu jesteśmy, możemy znaleźć się w cieplejszym albo chłodniejszym powietrzu. Zresztą nie tylko u nas się ochłodziło. To są sytuacje, które zdarzają się co kilka/kilkanaście lat: lata, kiedy...

... kiedy Polska znalazła się po właściwej stronie tego układu?

Można tak powiedzieć, chociaż każdy ma subiektywne odczucia i preferuje ciepłe atlantyckie zimy lub bardziej skandynawskie. W tym roku niżę znad Atlantyku trudniej do nas dochodzą, stąd ciepłego powietrza jest mniej. Na najbliższe kilka dni cieplejsze powietrze może się pojawić, przynajmniej do piątku/soboty, bo niż z zachodu trochę się zbliży i je do nas skieruje. Ale cały czas podkreślam: ta zima przebiega przy innej cyrkulacji. W prognozach długoterminowych nadal umacnia się wyż nad Rosją i nad Skandynawią. Zobaczymy, co z tego

wyniknie, ale jest coraz bardziej prawdopodobne, że najmroźniejszy okres zimy jest jeszcze przed nami.

To zawsze taki moment, kiedy trudno wytłumaczyć czytelnikom, którzy mówią: „No dobrze, a gdzie to ocieplenie, skoro mamy mróz?” Po pierwsze: wiele osób, czasem celowo, a czasem z niewiedzy, myli pogodę z klimatem.

Jak wytłumaczyć różnicę między pogodą a klimatem?

Kiedy rozmawiamy o tej zimy, mówimy o pogodzie: w tym sezonie częściej napływa zimne powietrze, więc dominuje bardziej zimowy typ aury. Wyjątek, jak wcześniej wspomniałem, stanowiły dwie pierwsze dekady grudnia. Pogoda to chwilowy stan atmosfery: jest ciepło, pada, jest burza, słońce, mróz; to tu i teraz. Natomiast klimat, czyli warunki klimatyczne, to uśrednione warunki pogodowe w długim czasie. Najczęściej przyjmuje się co najmniej 30 lat, a im dłuższa perspektywa, tym lepiej: 100 czy 120 lat daje jeszcze pełniejszy obraz. Jeśli spojrzymy na ostatnie trzydzieści zim, zobaczymy wyraźnie, że średnia temperatura rośnie, śniegu jest coraz mniej i ten trend się nie zatrzymuje. Owszem, co kilka, kilkanaście lat trafiają się zimy mroźniejsze: można wskazać 2001 rok, potem 2006, 2010, 2011, 2012, a wcześniej 1995 i 1996. Tyle że zim ciepłych jest dziś dużo więcej niż chłodnych. Ta zima może się okazać chłodniejsza, ale wciąż nie mamy pewności, jak będzie wyglądała jej druga część, a zwłaszcza luty.

CORAZ RZADZIEJ ZDARZAJĄ ŚNIEŻNE ZIMY. MY TEŻ SIĘ ODZWYCZAILIŚMY, BO OD 2013 ROKU PRAKTYCZNIE WIĘKSZOŚĆ ZIM BYŁA BARDZO CIEPŁA



FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Rafał Maszewski: Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie

Kiedy klimat się ociepla, rośnie prawdopodobieństwo ekstremów pogodowych. Czy tę zimą też można uznać za takie ekstremum, może rzadsze, ale mocniejsze?

Zgadza się. Ocieplenie zwiększa prawdopodobieństwo różnych ekstremalnych zdarzeń pogodowych. Zmienia się pole temperatury, w Arktyce jest mniej lodu, maleje różnica temperatur, między obszarami zwrotnikowymi a polarnymi, a prąd strumieniowy zwalnia i bardziej meandruje, wygina się w jednym miejscu daleko na południe, a w innym na północ, spychając zimne powietrze na południe, a wypychając ciepłe do Arktyki. To dzieje się coraz częściej i w ocieplającym się świecie nie jest niczym nadzwyczajnym, choć bywa trudne do zrozumienia: że podczas ocieplenia klimatu w miejscach, gdzie nie spodziewamy się mroźnej i śnieżnej zimy, taka się pojawia. Natomiast to, co mamy teraz, wygląda na normalny epizod zimowy. Na razie nie ma tu nic szczególnie nadzwyczajnego. Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden element: wody Bałtyku są cieplejsze niż dawniej. Gdy napływa zimne powietrze z północy, sprzyja to obfitym opadom śniegu na północy Polski, bo cieplejsza woda oznacza większe parowanie.

O Bałtyk jeszcze zapytam, ale najpierw: co dobrego robi dla nas śnieg i mróz? Za-

cznijmy od śniegu. Pamiętaj rozmowę z panem wiosną, gdy susza była wiązana m.in. z brakiem pokrywy śnieżnej. Czy ten dzisiejszy śnieg może być magazynem wody na wiosnę? I czy może przy szybkich odwilżach stać się zagrożeniem powodziowym?

Pokrywa śnieżna w naszym klimacie to świetna sprawa dla przyrody, wód gruntowych i uwilgotnienia gleby. Śnieg, topniejąc spokojnie, nawadnia glebę, szczególnie dobrze, jeśli grunt nie jest mocno przemarznięty. Obecnie miejscami ziemia jest mocniej zamrożona, miejscami, tam gdzie dłużej leży śnieg, znacznie mniej i to w tych miejscach gleba i wody gruntowe najwięcej zyskają. Jest też ważna dla oziminy i roślin: już około 10 centymetrów śniegu skutecznie chroni przed wymarzaniem.

Czyli śnieg działa jak kołdra?

Tak. To zamrożona woda, a pomiędzy płatkami śniegu mamy też powietrze, więc izoluje i ogranicza wymrożenia. Gleba przemarza słabiej, a wtedy może wsiąknąć więcej wody z roztopów. Istotne pytanie brzmi jednak, jak i kiedy ten śnieg będzie topniał. Jeśli stopnieje szybko za tydzień czy dwa i wszystko zdąży spłynąć do końca lutego, efekt magazynu będzie mniejszy. Wody gruntowe trochę przybędzie, ale najlepiej byłoby, gdyby topnienie

rozłożyło się tak, by wilgoć została na marzec i kwiecień. Nie wiemy też, czy pojawi się powódź roztopowa, której dawno nie było, ponieważ do tego potrzeba skorelowania kilku czynników.

Czyli dziś liczy się nie tylko to, ile spadnie śniegu, ale i jak stopnieje?

Dokładnie. Jeśli śnieg zacznie topnieć przy wysokiej temperaturze i opadach deszczu, bez nocnych przymrozków, wzrosty stanów wód mogą być znaczne. Jeśli jednak topnienie będzie dzienne, a nocą wrócą przymrozki, przy słabszej pogodzie i bez większych opadów, proces będzie spokojniejszy, rozłożony w czasie. Może być też tak, że będzie kilka krótkotrwałych odwilży przeplatanych okresami mrozu, wówczas spływ wód roztopowych będzie rozłożony w czasie. Zwróciłbym też uwagę na zjawiska lodowe na rzekach, już dość zaawansowane, zwłaszcza w dorzeczu Wisły, ale miejscami także na dolnej Odrze. Przy roztopach, gdy rzeka jest zalodzona, dochodzi ryzyko zatorów i powodzi zatorowych, zarówno przy tworzeniu się zlodzenia, jak i podczas jego zaniku. W cieplejszych zimach te problemy często w ogóle się nie pojawiały. Jeśli teraz na kilka dni zrobi się cieplej, potem wróci mróz i znów dopada śniegu, sporo wody zgromadzi się w zlewniach rzek. Luty i marzec mogą być pod tym

względem różne. Na razie jednak w rzekach mamy bardzo mało wody, dominują stany niskie, więc jest gdzie tę wodę przyjąć. Stany wysokie pojawiają się, ale głównie z powodu tworzenia się pokrywy lodowej i blokowania przepływu przez lód. Zdecydowanie za wcześnie, by mówić o ewentualnej powodzi i jej skali.

Słyszę też takie przekonania: „Mróz wymrozi wirusy”, „Wymrozi komary”, „Będzie mniej szkodników”. Czy dłuższy mróz i śnieg naprawdę pomagają ograniczyć szkodniki?

Nie jestem wirusologiem, ale ogólnie wiadomo, że wirusy dobrze czują się w niskiej temperaturze, więc mróz nie stanowi dla nich problemu, a nawet może sprzyjać. Co innego bakterie: one w mrozie mają trudniej. Z komarami to też nie działa tak prosto. Gdybyśmy mieli zimę naprawdę potężną, nietypową jak na nasze warunki, z bardzo silnymi, długimi mrozami, wtedy można by oczekiwać większego ograniczenia m.in. liczebności owadów. Ale przy normalnej zimie, a zwłaszcza gdy jest śnieg, on w znacznym stopniu chroni wszelkie formy życia. Proszę pamiętać: na Syberii komarów i innych owadów jest mnóstwo, a jakie tam są temperatury! Przyroda potrafi się do takich przeciętnych, jak obecnie, warunków przystosować.

Przyroda jest do takich warunków przygotowana; większe zaskoczenie te warunki stanowią dla kierowców. Zwierzęta mogą mieć trudniej, ale nie dzieje się nic spektakularnego, co pozwalałoby powiedzieć, że masowo zmniejszyło ich liczebność. Zobaczymy jednak co przyniesie dalsza część zimy, bo może ona się jeszcze zaostrzyć.

Chciałabym wrócić do tego, co dzieje się na Pomorzu, nad Bałtykiem, bo najstarsi rybacy mówią, że takiej zimy nie pamiętają. Co musiało się wydarzyć nad morzem, żeby sypało tak konkretnie, żeby były zamiecie i śnieżyce właśnie w Pomorskiem?

Potrzebny jest dość specyficzny układ wyżów i niżów nad europejskim obszarem synoptycznym. Najlepiej, gdy centrum niżu ustabilizuje się na północny wschód od Polski, w rejonie Litwy, Łotwy, Estonii, zachodniej Rosji, a jednocześnie wyż rozlokowany jest na Atlantyku u zachodnich wybrzeży Europy. Wtedy z północy, praktycznie prosto z Arktyki, spływa do nas zimne powietrze, które „przelatuje” nad stosunkowo „ciepłymi” wodami Bałtyku, pobiera parę wodną, która skrapla się, zwłaszcza podczas początkowej fazy przepływu nad zimnym łodem, powoduje silne opady śniegu pochodzenia konwekcyjnego na północy Polski. Zimne powietrze napływające nad cieplejszą wodę sprawia, że wilgotne powietrze gwałtownie się unosi, woda intensywnie paruje, tworzą się chmury i opad. Ten proces potrafi się jeszcze wzmocnić, gdy chmury i wilgotne powietrze wślizguje się nad lokalne wzniesienia na Pomorzu czy na Warmii: powietrze zaczyna się tam silnie unosić i zwiększa się skraplanie pary wodnej - czasem w takiej sytuacji pojawiają się nawet burze śnieżne. Można powiedzieć, że spada nam na głowę woda, która wcześniej odparowała z Bałtyku. To trochę przypomina sytuacje znane z rejonu Morza Śródziemnego: gdy zimne powietrze napływa nad rozgrzane wody, powstają głębokie układy niżowe, które potrafią przynieść bardzo intensywne opady i powodzie. Również w rejonie Wielkich Jezior w Stanach Zjednoczonych mamy tzw. efekt jeziora, podobny jak na polskim Wybrzeżu

A czy temperatura wody w Bałtyku i obecność lodu wpływają na przebieg zimy w pasie nadmorskim? Tak. Z jednej strony: im cieplejsza woda zimą, tym

przy napływie mroźnego powietrza opady śniegu mogą być potężniejsze. Gdy woda jest chłodniejsza, potencjał do tak intensywnych opadów jest nieco mniejszy. Z drugiej strony Bałtyk w chłodnej porze roku zwykle działa na wybrzeże ocieplająco; nad morzem rzadziej utrzymują się ujemne temperatury, a mrozy nie są tak silne jak np. na Pomorzu.

Wyobraźmy sobie Polskę za dwadzieścia-trzydzieści lat. Za czym będziemy tęsknić? Za śniegiem? Czy bardziej za stabilną pogodą?

Jeśli trendy się utrzymają, a modele to sugerują, podobnie jak moje badania cyrkulacji atmosferycznej: zimą pewnie będziemy tęsknić za śniegiem, za nartami, za malowniczym przymrozkiem, za normalną zimą. Już dziś bywa, że tęsknimy za śniegiem w święta albo podczas ferii, w tym roku mniej, ale w poprzednich latach bardzo często. A od wiosny do jesieni, coraz częściej możemy tęsknić za wodą, za opadami. Susza może nas dotyczyć częściej i być jeszcze bardziej dotkliwa niż współcześnie. I jeszcze jedno: jeśli fale upałów będą dłuższe i bardziej intensywne, to będziemy też tęsknić za chłodniejszymi latami np. takimi jak ubiegłoroczne, kiedy dni upalnych było wyraźnie mniej. Czyli możliwe, że nasze tęsknoty się rozdziela: zimą za śniegiem, a w ciepłej połowie roku za deszczem, burzą i temperaturą bardziej sprzyjającą, w okolicach 20-25 stopni. Jeśli oczywiście te trendy zmian w pogodzie się utrzymają i np. nie ulegnie zaburzeniu cyrkulacja prądów morskich w północnej części Oceanu Atlantyckiego.

CV



FOT. AUTOR

Dr Rafał Maszewski

Klimatolog. Autor i pomysłodawca czasopisma elektronicznego pogodatorunium.pl, gdzie można przeczytać analizy dotyczące pogody w całej Polsce. Absolwent geografii (specjalizacja klimat i ochrona klimatu) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Popularyzuje naukę o pogodzie i klimacie w mediach.

DAM PRACĘ TOKARCE I TOKARZOWI

Od kilku tygodni każde ogłoszenie o pracy musi być neutralne płciowo. W praktyce jest zabawnie, rekruterzy ćwiczą więc językowe wygibasy

Małgorzata Oberlan

To standard XXI wieku czy „lewackie dyrdymały”? Neutralność płciowa w ogłoszeniach rekrutacyjnych to skutek implementacji przez Polskę kolejnej unijnej dyrektywy i nowelizacji Kodeksu pracy. Weszła w życie 24 grudnia 2025 roku.

Od Wigilii (co może i znamienne - pierwszy raz była dniem wolnym od pracy) w anonsie rekrutacyjnym nie wolno nikogo w przedbiegach zniechęcać do aplikacji z uwagi na płeć (czytaj: dyskryminować). Koniec z „paniami sprzątaczkami”, bo takie określenie wyklucza panów. Koniec z „sekretarkami medycznymi”, a może nawet „betoniarzami” (powinny być też „betoniarzki”).

Jak sytuacja wygląda dziś w praktyce? Momentami naprawdę zabawnie, bo widać, jak rekruterzy gimnastykują się językowo. Problem bowiem w tym, że resort pracy przy okazji nowelizacji żadnych twardej wytycznych nie dał. Nie ma katalogu poprawnych i neutralnych płciowo nazw zawodów - są tylko ogólne wskazówki podane w ministerialnej interpretacji.

Nowe prawo w praktyce, czyli „sprzątaczkę” zatrudnię

13 stycznia, czyli trzy tygodnie od wejścia nowych przepisów w życie, przeglądamy lokalne ogłoszenia rekrutacyjne na popularnym portalu OLX. Widać, kto zdążył przyswoić zasady, a kto jeszcze śpi.

„Sprzątaczkę/sprzątacza” - ogłasza w dziale „zatrudnię” globalny koncern, czyli Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych. Tak brzmi tytuł ogłoszenia. W jego treści firma pisze, że „obecnie poszukuje odpowiedniej osoby na stanowisko sprzątaczkę (k/m)” - koncern wybrał więc z opresji całkiem niezłe.

„Osoba sprząająca i osoba do wydawania posiłków i sprzątania w szkole” - tak z kolei tytułuje poszukiwanego pracownika Toruńskie Towarzystwo Salezjańskie prowadzące szkołę. Dla jasności: szuka dwóch osób.

„Pracownika/Pracowniczkę ds. Utrzymania Czystości” pragnie natomiast zatrudnić spółka Media System (cytat wierny, wraz z wielkimi literami). Zapachniało poezją ogłoszeń rekrutacyjnych...

„Panów do sprzątania, koszenia i brygadzystę” - ogłasza z kolei (grzesząc!) lokalna firma oferująca pracę przy ul. Kociowskiej i Skłodowskiej-Curie w Toruniu. Dopiero dalej się reflektuje i już w treści anonsu mowa jest o tym, że „zatrudni pana lub panią”.

Sporo firm wybrało rozwiązanie opisowe. Ogłasza teraz po prostu, że „do sprzątania zatrudni”. Podobnie zresztą bywa z innymi pracami. „Do pracy w restauracji”, „Do spawania”, „Do obsługi kasy i lady chłodniczej” - takie bezpieczne nagłówki nosi teraz coraz więcej anonsów. Bezpiecznie, ale czasem językowo dość kulawo, a do tego nieprecyzyjnie dla kandydatów do pracy.

Zamieszanie w działach HR

W firmowych działach HR lekki popłoch i zamieszanie. Jedni mieli szkolenia przed nowelizacją przepisów, tym bardziej że objęły też np. jawność wynagrodzeń i inne kwestie. Inni puszczeni zostali kolejny raz na głęboką wodę. I wpływają jak potrafią. Wertują słowniki (internetowe), pytają, co robić, AI (jakże zawodną czasami), podglądają innych. Wielu się wkurza „na te głupoty”, ale oficjalnie komentować nie chce.

- Trzeba zaznaczyć, że obecnie nie ma jednoznacznych wytycznych, jak dokładnie powinny brzmieć nazwy stanowisk w świetle nowych przepisów. W praktyce oznacza to, że pracodawcy muszą samodzielnie wypracować rozwiązania, które są zgodne z prawem i jednocześnie czytelne dla kandydatów - mówi Izabela Suchorzyńska, dyrektor działu marketingu w spółce Nova Trading.

To akurat bardzo duża spółka, znana nie tylko w kraju. Tutaj przygotowali się do zmian z wyprzedzeniem i oporów do komentowania tematu nie mają. - Nowe ogłoszenia o pracę przygotowujemy zgod-

nie z przepisami obowiązującymi od 24 grudnia 2025 roku, w tym z wymogiem neutralności płciowej właśnie. Dlatego stosujemy zapisy w formie „Pani/Pan”, np. „Pani/Pan spawacz-słusarz”, „Pani/Pan inżynier spawalnik”, „Pani/Pan technolog programista CNC” - dodaje Izabela Suchorzyńska.

NSZZ „Solidarność”: Są ważniejsze problemy. To lewackie dyrdymały

Zarząd toruńsko-włocławskiego oddziału NSZZ „Solidarność” suchej nitki na nowych przepisach nie zostawia. I to w oficjalnym komunikacie pt. „Głupia nowelizacja obowiązuje” i hasłem „Lewackie dyrdymały o płci i zawodzie”.

A co, jeżeli pracodawca będzie poszukiwał osobę o konkretnej płci, ponieważ facetów

JĘZYKOZNAWCY ZWRACALI UWAGĘ, ŻE BRAK JEDNOZNACZNEJ KLASYFIKACJI ZAWODÓW I WZORCÓW SPOWODUJE CHAOS, A W KONSEKWENCJI SPORY

nie ma w zawodzie, lub - zyczajnie - nie powinni go pełnić ze względów np. kulturowych, obyczajowych, a nawet prawnych? A co z normami BHP? Np. dźwiganie ciężarów są różne dla płci i w magazynie może z tym być problem nie do przejścia - zwracają uwagę związkowcy.

W swoim komentarzu do zmiany przepisów piszą też o bezrefleksyjnym „przeklejaniu słów z unijnej regulacji”

oraz o tym, że w Polsce naprawdę rynek pracy ma poważniejsze problemy.

„Zamiast rozwiązywać prawdziwe kwestie rynku pracy, tworzy się kolejne absurd, niejasności interpretacyjne i ryzyko kar dla pracodawców. Wszystko po to, by spełnić ideologiczne postulaty, które nie mają solidnego oparcia w logice obowiązującego systemu. Obowiązek »neutralizowania« języka to sztuczny konstrukt ode-

rwany od praktyki i zdrowego rozsądku, będący wyłącznie projektem lewackich środowisk” - podsumowuje regionalny zarząd Solidarności.

Pani Iwona biura sprząta.

- Facetów u nas brak

A co o nowych przepisach myśli lud pracujący miast i wsi? Czy w ogóle o nich myśli? Błędnie zakładam, że nie, i ma je raczej w nosie. Zaskakuje mnie na przykład pani Iwona, kolejna już rok sprząająca firmowe biura i urzędowe pokoje. Gdy tylko zagajam, okazuje się, że żadnych wstępów objaśniających sytuację nie potrzeba.

- Aaaa, wiem, o co chodzi. Nie wolno już w ogłoszeniach pracy dyskryminować ze względu na płeć - mówi od razu trzydziestolatka, wyłączając maszynę sprząającą. - Co ja o tym sądzę? Słusznie! No bo z jednej strony, jak tutaj już kolejny rok pracuję, to sprzątam same kobiety. Facetów do tej roboty u nas brak. Z drugiej strony jednak mój mąż mechanik zna kobiety mechaników. To wyjątki w tym męskim fachu, ale są. I to pokazuje, że nie powinno się jednak z góry nikogo wykluczać przy rekrutacji.

Dalej sobie z panią Iwoną już tylko śmieszkuje nieco z „panów sprząających biura” i ich zapewne przemożnej chęci podejmowania się takiej pracy oraz niekwestionowanych umiejętności. Szczegółów nie zdradzimy, tak na wszelki wypadek. Czort wie, czy jeszcze tak niepoprawnie śmieszkuje można...

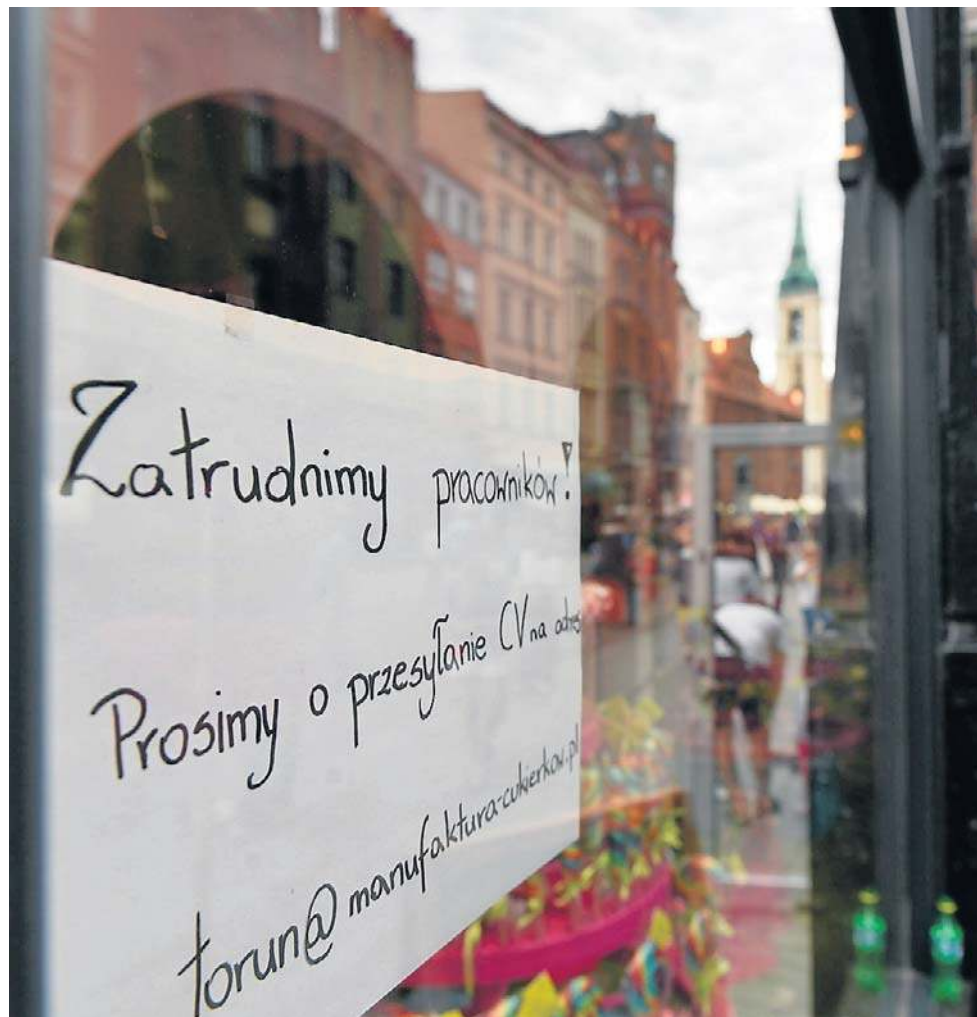
Inspekcja pracy karać nie będzie, a w czerwcu kolejne zmiany!

Co grozi rekrutującym za naruszenie neutralności płciowej w ogłoszeniach? Na razie drzeć przed mandatami czy grzywnami nie muszą.

Jak wyjaśniał główny inspektor pracy Marcin Stanecki, Państwowa Inspekcja Pracy nie ma prawa nakładać kar za takie „niepoprawne” ogłoszenia. Nie oznacza to jednak, że pracodawca publikujący dyskryminujące treści nie musi liczyć się z jakąkolwiek odpowiedzialnością za takie ogłoszenia.

Kandydatka bądź kandydat aplikujący na wolne stanowisko pracy, którzy czują się nierówno traktowani treścią ogłoszenia o pracę lub dyskryminowani w trakcie naboru (rekrutacji), mogą złożyć pozew o odszkodowanie. Sąd pracy może przyznać takiej osobie rekompensatę w kwocie nie niższej niż minimalne wynagrodzenie za pracę, które w tym roku wynosi już 4806 zł brutto.

Jeśli natomiast ktoś zgłosi PIP naruszające równość płci ogłoszenie o pracę, wówczas inspektor je zbada i w razie stwierdzenia nieprawidłowości może wezwać pracodawcę do zmiany anonsu (to tzw. niewiążące wystąpienie) albo nawet wydać po-tem takie polecenie.



Takie ogłoszenia (oferta nieaktualna!) to wytrych - poszukiwanie pracowników jest dosyć neutralne płciowo. Jednak może powinny być też „pracowniczi”?

„GÓRA ŚMIERCI”. MAKABRYCZNA HODOWLA POD LASEM

Kiedy w czwartek wieczorem 8 stycznia do hodowli psów rasowych pod Bolimowem niedaleko Skierniewic wkroczyła policja, funkcjonariuszom ukazał się przerażający widok. Szczątki 16 martwych psów, inne zagłodzone, pozamykane w klatkach. I potworny odór. – Z tak tragiczną sytuacją zwierząt nie spotkałem się nigdy w mojej ponad 20-letniej pracy lekarza weterynarii – mówi Piotr Cymerski, powiatowy lekarz weterynarii w Skierniewicach.

Natalia Zwolińska

O psach przebywających na jednej z posesji w koszmarnych warunkach zawiadomiła policję fundacja zajmująca się pomocą zwierzętom.

Słowo „koszmarnych” nie do końca oddaje rzeczywistość.

– W domku holenderskim, w którym przetrzymywane były psy nie można było wytrzymać dłużej niż kilka minut. Wszystko przez silny zapach odchodów zwierząt i moczu, który uniemożliwiał oddychanie. Psy przetrzymywane były w transporterach ustawionych jeden na drugim. Swoje potrzeby załatwiały właśnie tam, bez możliwości wyjścia. Całe były oblepione własnymi odchodami i moczem – mówi Piotr Cymerski, Powiatowy Lekarz Weterynarii w Skierniewicach.

Najgorszy widok dopiero jednak na niego czekał.

– W szopie znaleziono 16 martwych psów. Przyczyna ich śmierci zostanie ustalona w sekcji zwłok. Najbardziej przerażający był sposób potraktowania ciał zwierząt, które przecież właścicielce przynosiły dochód. Była z nich ułożona „góra śmierci”. Kolejne zwłoki narzucono na wcześniejsze. Ciężko jest określić, kiedy nastąpiły zgony zwierząt, ale widać było, że niektóre leżały już dłuższy czas. Część z ciał była rozczłonkowana, inne nosiły ślady nadjeżdżenia. Proszę mi wierzyć, że chyba nikt z nas nigdy z takim czymś się nie spotkał – dodaje wstrząśnięty lekarz.

Tylko skóra i kości

Kilkadziesiąt zwierząt, które zostały odebrane żywe jest poddawanych cały czas badaniom. Na miejscu nie było możliwości przeprowadzenia jakichkolwiek badań ze względu na ilość zwierząt oraz potworny odór odchodów, w których przetrzymywane były psy.

Podczas badania jednego z owczarków australijskich okazało się, że jego waga to 5,4 kilograma, podczas gdy powinna wynosić od 18 do 20 kg. U sukki wykryto obustronne zapalenie

pluc, guzy listwy mlecznej, problemy neurologiczne, ogromne wyniszczenie organizmu oraz zaniki mięśniowe. U owczarka zaniknęły nawet mięśnie skroniowe, na szyi i na łopatkach zaniknęły również wszystkie mięśnie – została sama skóra i kości.

Również bernardyny są skrajnie zaniedbane.

„Widziałeś kiedyś 28-kilogramowego bernardyna? Tego obrazu nie da się wyrzucić z głowy. Bernardyn, pies który powinien ważyć grubo ponad 60 kg, stoi przed Wami jak cień samego siebie. Ponad 30 kg niedowagi. Wyniszczenie całego organizmu, zapadnięte boki, brak mięśni, brak sił. Psy, które rzucają się na jedzenie, jakby każdy kolejny kęs mógł być tym ostatnim w życiu” – czytamy na profilu Fundacji dla Szczęściąt Judyta.

Hodowla pod lasem

Mieszkańcy Woli Szydłowieckiej wiedzieli, że daleko od wsi, pod lasem, znajduje się hodowla. Jednak właścicielka nie miała kontaktu z mieszkańcami, a nawet z sąsiadką. Kiedy ta przywiozła zawiadomienie o podatku, nikt nie otworzył jej bramy.

– Ta hodowla była pod samym lasem. Czasami przejeżdżałam z dziećmi rowerem obok lub przechodziłam idąc na spacer. Zawsze prosiłam dzieci o ciszę, bo jak jeden pies zaczął szczekać, to nagle wszystkie zaczynały. A ja boję się psów. Zwierzęta było słychać, ale nie można ich było zobaczyć z bliska, bo znajdowały się w kojach daleko od płotu. Zawsze widać było pojemniki po mięsie i słome, to każdemu się wydawało, że są zadbane. Chyba każdy wiedział, że „pod lasem” jest hodowla, ale nikt się nie spodziewał, że osoba która zawodowo zajmuje się hodowlą zwierząt może je doprowadzić do takiego stanu – mówi Małgorzata Dylewska, sąsiadka Woli Szydłowieckiej.

Psy w hodowli nie miały dostępu do wody, a ich pokarm stanowiły odpady mięsne. Przez całe dni przetrzymywane były w transporterach ustawionych jeden na drugim. Swoje potrzeby



W takich warunkach, w transporterach ustawionych jeden na drugim w domu holenderskim, były przetrzymywane psy. Całe były oblepione własnymi odchodami i moczem

fizjologiczne załatwiały tam gdzie spały, a na dwór wychodziły zaledwie co kilka dni.

Każdy właściciel psa, który musi pożegnać się ze swoim pupilem, wie że to ciężkie przeżycie. Wielu właścicieli dokonuje „pochówku” swojego przyjaciela, inni decydują się na kremację lub oddanie do specjalnej firmy. Właścicielka hodowli miała zupełnie inny sposób „pozbywania się zwłok”. Trzymała je w pomieszczeniu.

Co wie Związek Kynologiczny w Polsce?

Udało nam się dotrzeć do hodowcy, który został wyrzucony

nie spodobało – mówi Przemysław Szoplewski z Hodowli Owczarków Niemieckich Długoszych.

Dodaje, że prowadzi ze Związkiem batalię sądową, która ma zakończyć się pod koniec stycznia. Już zapadł wyrok o niesłusznym wykreśleniu z ZKwP oraz nakazujący ponowny wpis. Wyrok nie został wykonany.

– Kiedy ponad 4 lata temu zacząłem informować władze związku o tym jak układ w ZKwP FCI działa na niekorzyść dobrostanu zwierząt, nikt nie chciał mnie słuchać. Mówiłem o hodowlach zarejestrowanych pod innymi adresami, o oszustwach przy prześwietleniach wśród owczarków niemieckich, oraz oszustwach przy egzaminach prób pracy w rasie owczarek niemieckich. Informowałem o psach zamkniętych całymi dniami w przyczepach w hodowli jednego z sędziów. To wszystko nie tylko spuszczone do ścieku, ale postanowiono zrobić ze mnie oszusta, wariata – mówi nam Szoplewski.

Co na to ZKwP? Czy złe traktowanie zwierząt było „zamiatane pod dywan”? Czy w ogóle ktokolwiek sprawował jakąkolwiek kontrolę nad zarejestrowanym w związku hodowlami? Te właśnie pytania wysłaliśmy do Związku Kynologicznego w Polsce – Oddział w Gdyni, gdzie zarejestrowana była podskierniewicka hodowla. Ponieważ nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi z gdyńskiego oddziału, te same pytania wysłaliśmy do Zarządu Głównego Związku Kynologicznego w Polsce. Zostaliśmy poinformowani, że uzyskamy odpowiedź, jednak do momentu składu gazety ich nie otrzymaliśmy.

Tymczasem przedstawiciele zarządu złożyli pismo do Urzędu Miasta i Gminy Bolimów. Zobowiązują się w nim do niesienia pomocy psom, które zostały odebrane z hodowli prowadzonej na terenie gminy Bolimów.

Dodatkowo władze ZKwP zobowiązują się do objęcia najbardziej potrzebujących psów specjalistyczną opieką weterynaryjną. ZKwP zaferowało możli-

wość umieszczania takich zwierząt w Uniwersyteckim Centrum Medycyny Weterynaryjnej w Poznaniu, gdzie mogą uzyskać pełną diagnostykę i kompleksowe leczenie. Koszty leczenia zwierząt ma pokryć związek.

Związek Kynologiczny w Polsce złożył na piśmie oświadczenie pełnej gotowości do współpracy ze wszystkimi właściwymi organami, w tym również z organami ścigania. Dodatkowo zadeklarowano również pomoc w zapewnieniu domów tymczasowych i stałych dla wszystkich psów odebranych z hodowli. Ma to być realizowane we współpracy ze strukturami ZKwP oraz osobami gotowymi do przyjęcia zwierząt pod opiekę.

Znikająca hodowla

Sprawą zajmuje się Wydział do spraw Walki z Przemocnością Gospodarczą i Korupcją Komendy Miejskiej Policji w Skierniewicach. Do tej pory nikt nie został zatrzymany i nikt nie usłyszał zarzutów.

– Policjanci cały czas analizują zebrany na miejscu materiał dowodowy. Przesłuchiwanie są kolejni świadkowie. Czekamy również na opinię biegłego lekarza weterynarii – mówi młodszy aspirant Aneta Placek, oficer prasowy Komendanta Miejskiej Policji w Skierniewicach.

Na tym jednak nie koniec. Okazuje się, że wśród odebranych zwierząt znalazły się psy, które przebywały tam w „hotelu”. Właścicielka, również członkini ZKwP, próbuje je teraz odebrać. Czy wiedziała w jakich warunkach będą przebywać jej wystawowe zwierzęta? Próbowałyśmy się z nią skontaktować, ale bez skutku. Z mediów społecznościowych zniknęła większość postów hodowczyni, której psy znajdowały się w „hotelu”.

Hodowla Nescaland, z której odebrano psy zniknęła z mediów społecznościowych. Nie znajdziemy tam również właścicielki psów. Wyszukując stronę internetową hodowli dowiadujemy się, że „ta witryna jest nieosiągalna”.

Skąd nazwa Cobi? Robert Podleś, pomysłodawca i twórca firmy, mówi, że odpowiadał na to pytanie wielokrotnie i...
za każdym razem odpowiedź jest inna.

– A prawda jest taka, że to nic nie znaczy – przyznaje z rozbijającą szczerością

Andrzej Płes

JAK POLSKIE COBI NIE DAŁO SIĘ DUŃSKIEMU LEGO I ZAWOJOWAŁO ŚWIAT



Firma od połowy lat 90. ub. wieku działa w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu

Nazwa miała być krótka, łatwa do zapamiętania, miała brzmieć dobrze i mile dla ucha. – I taka jest. Wcześniej nazywaaliśmy się Ertrub, anagram imienia Robert – nazwa za trudna, zbyt twarda. Rok po zmianie nazwy okazało się, że maskotką olimpiady w Hiszpanii będzie stwór o imieniu Cobi, ale to my byliśmy pierwsi – zaznacza Robert Podleś.

Burzliwa droga od flipperów do klocków

Wujek prowadził warsztat samochodowy, specjalizował się w naprawie trabantów. Nawet w schyłkowym PRL włączył na „prywatną inicjatywę” patrzyła kusym wzrokiem, ale niespełna dwudziestoletni Robert z początkiem lat 80. wymarzył sobie, że też będzie prowadził warsztat samochodowy, bo życiowej „małej stabilizacji” na etacie sobie nie wyobrażał.

Zaczął do wycieczek kolejowych: nocą wsiadał w Kutnie do pociągu, który z Budapesztu zmierzał do Warszawy, tu skupował od podróżnych to, co nabyli w relatywnie bogatej wówczas Hungarii, z niedostępnym w Polsce towarem pędził do budki na warszawskim bazarze, gdzie towar zostawiał, a po wszystkim – do szkoły, z lekkim zazwyczaj spóźnieniem. To wciąż było za mało, by skompletować kapitał na wymarzony warsztat samochodowy, więc ruszył „na saksy” do Szwecji. Za zarobione tu pieniądze kupił na miejscu swój pierwszy automat do gier zręcznościowych, ledwie za 5-10 proc. jego pierwotnej wartości. To był absolutny impuls, tego w planach nie było. Rozłożył mocno wysłużony i zdezelowany sprzęt, zapakował do równie mocno wysłużonego i zdezelowanego „malucha”, którym przyjechał, wrócił do Polski, tu reanimował, potem kupował kolejne, które też poddawał technicznemu remontowi. Skompletował takich tuzin – część pracowała dla niego w lokalach, reszta zarabiała na siebie w barakowozie, który też kupił. Interes nie bez formalnych komplikacji.

– Wtedy, w 1982, nie można było prowadzić takiego biznesu jako przedsiębiorca – tłumaczy. – Można było go mieć, ale nie prowadzić, więc zapisałem się do Stołecznej Estrady. W ten sposób w wieku lat 21 zostałem rejestrowanym artystą i agentem artystycznym i jako taki mogłem prowadzić salon gier zręcznościowych. Władza takiego biznesu szczególnie nie kochała, bo to prawie hazard, w dodatku brzydki pachnący wrażliwym imperialistycznym Las Vegas.

– Mimo wszystko to były dla mnie dobre czasy, bo jako agent Stołecznej Estrady płaciłem tylko 6 procent podatku, żadnego VAT, żadnej składki zdro-

wotnej i tym podobnych – mówi dziś Robert Podleś.

Kilka lat „żarło”, ale z końcem lat 80. obliczył, że – by zrobić z tego „small biznes” – naprawdę duży biznes – musiałby zarządzać setkami takich automatów do gier. W kraju, w którym nie było w sklepach niczego, produkcja – wydawało mu się – dawała nieograniczone możliwości. Zaczął drukować gry planszowe i puzzle. Sprzedaż takiego asortymentu była czystą rozkoszą: pakował gotowy produkt w ledwo ziępiącą nyskę „na pych”, bo rozrusznik nie działał, jechał na targi, „szło jak woda”. Sklepy też przyjmowały, ile mogły. Za to produkcja była koszmarem – już zdobycie kartonu było wyzwaniem. I z takim interesem wkroczył z ery gospodarki socjalistycznej w dziki kapitalizm. I to z przypływem, bo jego planszówka „Komandosi”, stworzona do spółki z kolegą z ławki szkolnej, zdobyła tytuł „Gry roku 1990” w plebiscycie organizowanym przez tygodnik „Razem” i młodzieżowy „Świat Młodych”. Pomogli Terminator (Schwarzenegger) w duecie z Rambo (Stallone) na pudełku, bo wręcz wpychali grę do rąk klientów. Dziś kolekcjonerzy płacą za nią na platformach sprzedażowych ponad 320 zł. „Komandosi” byli tematem pierwszej bodaj reklamy w Telewizji Polskiej. Ledwie trzy emisje, ale jak na tv, która dysponowała wtedy dwoma programami, to i tak był sukces.

Narodziny Cobi i próby eutanazji przez „gang Olsena”

Zaczynał osiadać w branży zabawkarskiej, wybrał się nawet na zabawkarskie targi do Hongkongu, i tam zobaczył dziecięcy raj: zabawki firm zachodnich z całego świata, bo dotychczas oglądał na ogół te energetyczne. Nawiązał kontakty, wszedł w przedstawicielstwo firm zachodnich na kraje Europy Wschodniej, w końcu uznał, że czas iść na swoje. Do spółki z przyjacielem zarejestrowali firmę Cobi, od razu z myślą o produkcji klocków konstrukcyjnych, więc kupili nieco maszyn produkcyjnych. Produkowali „na Polskę”, trochę na wschód, na rynki zachodnie nie mieli jeszcze wstępu, ale i tak dostrzegł ich duński gigant tej branży.

– Zaczęło się nękanie, także pozwami o stosowanie nieuczciwej konkurencji, które trwało lat kilkanaście – wspomina pan Robert. – Żądali od nas nie tylko zaprzestania produkcji, ale zniszczenia stanów magazynowych, oprzyrządowania i maszyn. Siedzieliśmy po uszy w kredytach, bo stale byliśmy w procesie inwestycji, więc w konfrontacji z takim przeciwnikiem było się czego obawiać.

A już zaczęli się rozpychać na rynkach pozakrajowych, co



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Robert Podleś: Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń historycznych, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa pod Stalingradem czy bitwa pod Grunwaldem

tylko zwiokrotniło determinację duńskiej firmy. W efekcie z licznych procesów, jakie konkurent im wytoczył przed sądami w wielu krajach, przegrali tylko jeden: na Węgrzech.

- Pewnie dziełem przypadku jest, że w dniu, kiedy ogłoszono tam niekorzystny dla nas werdykt, węgierskie media podały triumfalnie, że duński producent klocków konstrukcyjnych zainwestuje w ich kraju miliony dolarów - wspomina Robert Podleś.

Za to z satysfakcją wspomina to, co stało się przed sądem szwedzkim. Dziewięć osobowy skład sędziowski poświęcił na rozpatrzenie tego sporu cały dzień, co już było ewenementem. Tego dnia na sali sądowej pojawiła się ok. 70-osobowa delegacja strony duńskiej firmy, w tym dwie dziesiątki adwokatów. Przylecieli dwoma samolotami, zainstalowali się na kilka dni w najlepszych hotelach Sztokholmu, tymczasem sąd uświadomił stronom, że ta przegrana będzie musiała zapłacić wygranej koszty udziału w procesie. Wystarczy, żeby przed prezesem Podlesem nogi ugięły się pod ciężarem finansowych skutków przegranej. A to był tylko kolejny kłopot w serii.

- My mieliśmy problemy ze znalezieniem prawnika, dziewięć na dziesięć szwedzkich kancelarii prawnych nie mogło się podjąć reprezentowania nas, bo w wielu innych sprawach obsługiwała naszych przeciwników procesowych - tłumaczy. - W końcu trafiliśmy na prawnika, który przyjął naszą sprawę wręcz entuzjastycznie. Też się zdziwiliśmy, ale wyjaśnił, że nasz duński konkurent niegdyś zagroził wytoczeniu jemu i jego rodzinie sprawy sądowej z żądaniem, że mają zmienić nazwisko. A pan mecenas Lego udowodnił, że jego i jego przodków nazwisko pochodzi z czasów, kiedy duńskiej firmy jeszcze „nie było na świecie”. Chyba jakaś zadra w nim została, bo przyjmując naszą sprawę, ucieszył się, że będzie miał okazję raz jeszcze im „dołożyć”. I „dołożył”, bo wygraliśmy, choć z naszej strony na sali sądowej było nas włącznie z mecenasem Lego trzech, a po drugiej stronie około 70 osób. I wygraliśmy.

Pamięta inny proces, też wygrany, i w dodatku wiedzą techniczną. Sąd mocno zagłębił się w sprawy techniczne dotyczące także budowy klocków. - Z moim wykształceniem bez trudu byłbym w stanie udowod-

nić, że klocki konstrukcyjne muszą mieć odpowiednie parametry, budowę, przekroje, żeby spełniały swoją rolę, a twierdzenie, że można to robić inaczej, zostało w sądzie obalone. Prawnicy drugiej strony nie mieli pojęcia o zabawkach, konstrukcji klocków - ograniczali się do twierdzeń, że nasze to nieuczciwa konkurencja i podróbka. Druga strona na takie ujęcie problemu kompletnie nie była przygotowana.

I dodaje, że klocki konstrukcyjne wymyślił Brytyjczyk Hillary Page dla swojej firmy Kidcraft, opatentował je w 1947 roku na Anglię, Francję i Szwajcarię, ale nie na Danię, więc tu tejsza, jeszcze mała firma zabawkarska skopiowała pomysł, opatentowała na Danię, uznając, że kwestia własności intelektualnej w branży zabawkarskiej nie jest traktowana przesadnie poważnie.

Klocek po klocek budujemy historię i... inżynierów

Potężnym podmuchem w żagle firmy była „Small Army”: samoloty, czołgi, okręty, wozy bojowe, artyleria, wojskowe wozy transportowe, nawet okręty żaglowe, jak Victory. Duńska konkurencja unikała tematyki wojennej, ograniczając się co najwyżej do kopiowania futurystycznych środków transportu ze „Star Wars”. Dla sympatyków klocków konstrukcyjnych Small Army stała się prawdziwym rarytasem, pomysł podchwycili pasjonaci.

- Nasz slogan reklamowy mówi: „Buduj historię klockem po klocek” - przypomina Robert Podleś. - Składając nasze klocki, każdy może dotknąć historii. Nasze zestawy nawiązują do takich wydarzeń, jak bitwa pod Monte Cassino, bitwa

pod Stalingradem, D - Day, bitwa pod Grunwaldem i wiele innych historycznych wydarzeń. Nasze zestawy są w zasadzie dla trzech pokoleń: dla dzieci, ich rodziców i dziadków. Składając dany model, na przykład czołgu, dziecko zaczyna interesować się celem jego powstania, jego przeznaczeniem, okresem wykorzystania, wydarzeniem historycznym, w którym odegrał szczególnie istotną rolę, zaczyna szukać informacji, kontekstów dziejowych. To zupełnie inny i chyba bardziej efektywny sposób przyswajania wiedzy niż podczas, może czasem nudnej, lekcji historii w szkole.

Podkreśla, że propozycja firmy nie tylko buduje zainteresowanie historią, ale też „produkuje” przyszłych inżynierów.

- Wymusza aktywność wyobraźni, rozumienie trójwymiarowości, patrzenie na obiekt z perspektywy klocka, ale widzenie całości, na które pojedyncze klocki się składają, szukanie korelacji konstrukcyjnych pomiędzy nimi - analizuje. - To czasem niełatwe: nasz model czołgu Tiger to 11 tysięcy klocków. Tego nie da się złożyć w dzień, dwa - na to trzeba tygodnia, a niektórzy mówią, że dwóch.

Historyczny kontekst chwycił rynkowo. Wkrótce pojawiła się seria o kultowych samochodach, można rozszerzyć swoją kolekcję „wszystkiego, co lata” o modele statków powietrznych, produkowanych w PZL Mielec. Obiekty specjalne dla firmy, która swój dział konstrukcyjny, planistyczny, magazynowy i dystrybucyjny oczywiście całą produkcję osadziła w połowie lat dziewięćdziesiątych w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Mielcu.

- Byliśmy podajże dwunastą firmą, która zdecydowała się skorzystać z propozycji mieleckiej SSE - przypomina sobie założyciel firmy.

Dziś zabawkarsko-edukacyjna oferta mieleckiej firmy ma niezliczonych sympatyków, szczególnie aktywnych w Cobi Funs na Instagramie i Mecie, komentujących tematycznie podcasterów. Prezes Podleś podkreśla, że to niewyczerpalne źródło pomysłów, kreatywności, ale też najlepsza kontrola jakości.

- Szczególnie ci z zacięciem historycznym potrafią wyłapać w modelu mikrodetal, który być może nie zgadza się z oryginałem - wspomina. - A prezentujemy wersje przedprodukcyjne, czekając na ich uwagi, bo mamy jeszcze czas, aby je poprawić. I jesteśmy im za to wdzięczni. Jak i tym, którzy podpowiadają nam, jakich serii oczekują, jakich modeli, toczą między sobą dyskusję.

Nie mniej ważne dla planowania przyszłości i projektowania kolejnych serii jest umiejęt-

ność wyczuwania, podbudowana rozpoznaniem, „na co zanoszą się” w branży na Zachodzie.

Wciąż jest na trasie

Mimo dominacji w tej branży marek o rozpoznawalności globalnej, mielecka firma zdobywa kolejne przyczółki na świecie.

- Naszym największym odbiorcą są rynki amerykański i niemiecki, nie zawsze w tej kolejności - zastrzega Robert Podleś. - Mocno tkwimy na rynku norweskim, istniejemy na brytyjskim, francuskim, czeskim, wiele eksportujemy do państw azjatyckich, głównie do Chin, a i w Afryce można nas znaleźć. W sumie ponad 80 procent produkcji eksportujemy.

Był pomysł, aby część swojej produkcji zainstalować w USA, by mocniej wejść w tamten rynek. Zgasił nie tak dawno między innymi ze względu na politycznie kreowane perturbacje na amerykańskim rynku i niemal wszechmoc tamtejszych związków zawodowych - koszar każdego inwestora spoza USA. Prezes opowiada, jak to podczas uczestnictwa w targach za wielką wodą nie wolno im było na własnym stoisku wkręcić żarówki, bo to praca zastrzeżona przez związki dla tamtejszych pracowników - 50 USD, bo „człowiekowi z zewnątrz” nie wolno wejść na drabinę w celach zawodowych. Przesztransportowanie palety workiem widłowym - 170 USD, jakby nikt z polskiej obsługi polskiego stoiska nie mógł tego zrobić. Biznes nie lubi przewlekłych w czasie procesów decyzyjnych, toteż firma właśnie zainwestowała w kolejne przestronie produkcyjne w mieleckiej strefie ekonomicznej.

Prezes Podleś przyznaje, że działa w chimerycznej, szarpiącej nerwy, bardzo zależnej od mody, ale jednocześnie eksycytującej branży.

- Mieliśmy kilka takich serii, które były bardzo popularne i nagle, jak ręką odjął, przestały się sprzedawać - wspomina. - Frustrujące jest, że musimy emitować krótkie serie, bo zainteresowanie rynku daną serią szybko gaśnie - on oczekuje wciąż nowych i nowych.

Pytany, czy zdobywszy już tyle wciąż czuje głód biznesowego sukcesu, sam pyta: co to jest sukces? Bo jeśli chodzi o rozwój i ekspansję firmy, to...

- Tak, wciąż jestem głodny, jeszcze nawet podwieczorka nie zjadłem - przyznaje. - Nie czuję zmęczenia. Bo wie pan, ja kiedyś biegałem w ultramaratonach, zmęczenie przychodzi dopiero w nocy, po wszystkim. Kiedy biegnie się 30 godzin, to nie czuje się zmęczenia, bo adrenalina napędza i w głowie kręci się motorek, że trzeba osiągnąć cel. A ja biznesowo cały czas jestem na trasie.

JESZCZE JEDEN MAZUR DZISIAJ! BYŁY BALE W KARNAWALE

Jeśli ktoś myśli, że w karnawale umiemy się szampańsko bawić, jest w błędzie. Co tam domówki, clubbing, dyskoteki czy nawet eleganckie bale. To zaledwie namiastka tego, jak imprezowano w wiekach minionych. Nasi przodkowie przed postem musieli odreagować, więc bawili się szaleńczo. Polska szlachta wyspecjalizowała się w kuligach, łączących napad z bronią w rękę, potańcówkę i uprowadzenie

Grażyna Antoniewicz

Suty, hałaśliwy i pełen tańca - taki był karnawał w Polsce wieku XVII i XVIII. Na kilka tygodni wszystko stawało na głowie, a rządy sprawowała królewska para: absurd i groteska. Panowało powszechne obżarstwo, wiele pito, a normy obyczajowe ulegały rozluźnieniu. Bawili się zresztą wówczas wszystkie stany.

Rzeźnicy z toporami

Głośne były bale karnawałowe w Gdańsku. Najślawniejsze urządzało w Dworze Artusa i w domach cechowych: „Na jednej ulicy kuśnierze porzebierani za Murzynów, ustrojeni w korony ze świeatełkami na głowach i obręczami w rękach, produkowali słynny zespołowy taniec - moreskę. Na drugiej występowali, skacząc i płasząc, rzeźnicy, potrząsając groźnie swymi toporami. Gdzie indziej jeszcze szyprowie prezentowali taniec marynarzki z obnażonymi mieczami” (za M. Bogucka „Życie codzienne w Gdańsku w XVI-XVII wieku”).

Z karnawałowych zabaw słynął wiek XIX. Ożywiały się wówczas salony i restauracje. Bale, dancingi, rauty, wieczorki tańczące - bawiono się chętnie, z wdziękiem i elegancją. Panie wdziewały piękne suknie, panowie fraki czy smokingi. Bal obowiązkowo zaczynał się polonezem - w pierwszej parze tańczyli najznakomitsi goście. Tańczono polki, kadryle, walce, a kończono nad ranem białym mazurem. Nie mogło zabraknąć, oczywiście, tańca kotylionowego. Losowanie kotylionów bywało często ustawiane, aby połączyć określone osoby. Tańce kotylionowe stanowiły więc dla wodzireja źródło dodatkowych



Śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska na dobroczynnym balu prasy łotewskiej w Rydze. Od lewej siedzą: konsul RP w Rydze Jan Ryniewicz, poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny RP na Łotwie Franciszek Charwat, attache prasowego posełstwa RP w Rydze radca Ksawery Glinka, śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turska oraz poseł sowiecki w Rydze Stepan Brodowski

dochodów. Pewien wodzirej z warszawskiej Adrii otrzymał podobno złotą papierośnicę od znanego warszawskiego przemysłowca za umożliwienie mu zatańczenia kotylionowego walca z prześliczną panią Tomasini, żoną ambasadora Włoch.

Giełda małżeńska

Lata 70. XIX wieku przyniosły pochodzącą z Francji modę na bale maskaradowe. Przebiegano się przeważnie za postacie historyczne, bohaterów zna-

nych powieści, rozbójników itp. Sunęły więc po sali piękne Greczynki w antycznych strojach, w objęciach piratów lub korsarzy.

Bale stanowiły dla młodych panien rodzaj giełdy małżeńskiej, na której mogły zaprezentować swoje wdzięki, oczywiście pod czujnym okiem mam, ciotek, babek (tzw. przyzwoitek), które pilnowały, aby kandydat do ręki miał odpowiednie koligacje rodzinne i majątek.

Magdalena Samozwaniec (córka malarza Wojciecha Kos-

saka), wspominając bale z początku ubiegłego wieku, pisała, że panienki miały zwyczaj występować w jednej sukience w ciągu całego karnawału. W ostatki „dziewicza biel” takiej kreacji była już mocno przyszarżała.

Bale, dancingi, rauty, wieczorki tańczące i inne przyjemne chwile to czas, kiedy kobieta mogła pokazać nowe kreacje i zawrzeć interesujące znajomości. Oczywiście, dotyczyło to głównie panien i kobiet wolnych.

Hejnał o północy

Słynne były bale w kasynie oficerskim II Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich, który stacjonował w Starogardzie Gdańskim.

- W okresie międzywojennym życie polskiej kawalerii nie ograniczało się wyłącznie do służby wojskowej i walk na polach bitew - opowiada Dariusz Michalski z Muzeum Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich. - Oficerowie i ich rodziny tworzyli aktywne środowisko społeczne, w którego centrum znajdowały

się kasyna oficerskie - miejsca spotkań, uroczystości, zabaw oraz balów pułkowych. Kasyno to nie miało nic wspólnego z hazardem - jego nazwa wywodzi się od włoskiego „casino” oznaczającego „mały dom” lub salę spotkań - kontynuuje swoją opowieść Dariusz Michalski. - W kasynie organizowano m.in. koncerty, bale i zabawy taneczne. Bale pułkowe były ważnymi wydarzeniami towarzyskimi. Uczestnikami byli oficerowie pułku i ich rodziny oraz zaproszeni goście, lokalne elity. Ważnym elementem balu była muzyka orkiestry wojskowej. Grano tradycyjne utwory taneczne tamtej epoki: walce, polki, fokstroty i marsze. Na sali dominowały mundury galowe, a panie obowiązkowo miały kreacje wieczorowe.

Różne były zabawy i ceremonie towarzyszące balom, np. odgrywanie hejnału o północy. Stanowił on element tradycji kawalerskiej. Kiedy na zegarze wybijała północ, na salę wkraczał pułkowy trębacz i odgrywał hejnał mariacki na pamiątkę utworzenia pułku w Krakowie, podkreślając tym samym szwoleżerskie związki z tym miastem.

Przez dziurkę od klucza

Wspinała aktorka Bogusława Czosnowska tak wspominała pewien bal:

- Ponieważ ojciec był legionistą, rodzice zostali zaproszeni na Bal Legionistów, który odbywał się w salach Urzędu Województwa Lwowskiego. Wtedy drugi raz widziałam tatę we fraku. Na tym właśnie balu razem z siostrą miałyśmy popis taneczny - nie za pieniądze, ale za pudełko czekoladek.

Młode damy wystąpiły wspólnie z „Wesołą Lwowską Fałą”, czyli Szczepciem i Tońciem.



FOT. ARCHIWUM

„Po co jeździć gdzie indziej, kiedy w Sopotach jest najpiękniej!” – tak się reklamował karnawał w słynnym kurorcie

- Po programie artystycznym dorośli bawili się, a nas umieszczono w cichym pokoiku, żebyśmy spokojnie przespali noc. Moja siostrzyczka i owszem, położyła się spać, ale nie ja! Musiałam ten bal zobaczyć. Po długich poszukiwaniach znalazłam właściwe drzwi i przez dziurkę od klucza śledziłam to, co na sali się działo. A było na co popatrzeć: fraki, galowe mundury, lśniące brylantami toalety, a wszystko rozświetlone blaskiem żyrandoli - rozmarza się Bogusława Czosnowska. - Wodzirejem był wąsaty pułkownik Śniadowski. Do munduru miał przypięty kotylion. Bal rozpoczął się oczywiście polonezem, a zakończył nad ranem białym mazurem.

Sopocki karnawał

- Karnawał zawsze był czasem wyjątkowym, troszeczkę wyjętym z dnia codziennego - opowiada historyk Michał Ślubowski z Muzeum Miasta Sopotu. - Oznaczał czas zabawy. Czas, w którym naturalny porządek dnia codziennego był zaburzony. Organizowano zabawy. W mieście były popisy zręcznościowe, na placu stawiano długi słup wymazany ja-

kimś olejem i trzeba było wspiąć się na niego i zdjąć z wierzchołka kiełbasę. Były też popisy aktorów. Takie zabawy lub występy były organizowane przez bractwa religijne czy rzemieślnicze. Na czas karnawału nauczyciele gimnazjum akademickiego przygotowywali z uczniami sztuki teatralne, które grane były na ulicy. - W karnawale bawiono się bowiem nie tylko w pomieszczeniach zamkniętych, ale też na wolnym powietrzu.

- W wieku XIX i XX niezwykle popularne stały się lokale rozrywkowe, kawiarnie, kluby i teatry, w których w okresie karnawału organizowano bale. Takim miejscem w Gdańsku była kawiarnia Dera (Cafe Derra), lokal przy ul. Kartuskiej 22/24 - opowiada Dariusz Michalski. - Ten budynek, choć mocno przebudowany, nadal stoi. I właśnie tam albo w dawnym teatrze Salonka - Teatrze Wilhelma, dawniej Selonke Theater przy Langgarten 31A (ul. Długie Ogrody) organizowano zabawy karnawałowe.

W okresie międzywojennym słynny sopocki karnawał był inicjatywą oddolną. Był to czas, gdy Wolne Miasto

W WIEKU XIX I XX POPULARNE STAŁY SIĘ LOKALE ROZRYWKOWE, KAWIARNIE, KLUBY I TEATRY, W KTÓRYCH W OKRESIE KARNAWAŁU ORGANIZOWANO BALE

Gdańsk borykało się z różnymi problemami, głównie ekonomicznymi. Dlatego ważne było przyciągnięcie turystów zimą do Sopotu. Postanowiono więc zorganizować karnawał. W 1921 roku grupa przedsiębiorców (hotelarzy i restauratorów) zorganizowała pierwszy. Inspiracją były karnawały w Nadrenii. Wystartował on na początku lutego, zaczął się oczywiście od balu, który zorganizowano w Domu Kuracyjnym. Elementem tego karnawału był pochód ulicami Sopotu. Mimo że była zima. Zachęcano, żeby się odpowiednio, pomysłowo przebrać. Stroje kolorowe i efektowne musiały być wcześniej zatwierdzone przez organizatorów. Podczas karnawału był też pokaz mody damskiej, a ostatniego dnia tej imprezy odbywał się bal maskowy.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Fotografia grupowa uczestników zabawy karnawałowej. Wśród obecnych widoczny m.in. gen. bryg. Stanisław Bernard Mond (z prawej)

balu powinien być pojawić się wodzirej.

„Był raz bal na sto par, pan wodzirej wprost szalał po sali. Kółko raz, koszyk dwa, a pod oknem samotnie bez pani siedział pan, smutny pan, taki, co to nie pije, nie pali, a tłum szalał, hiszpański walc cud ten wyprawił...” - śpiewał Jerzy Potomski.

Takim znakomitym wodzirejem był aktor Teatru Wybrzeże Stanisław Michalski, który opowiadał mi przed laty: - Lubiłem śpiewać i tańczyć. Kiedyś, gdy rozbraiałem na aktorskim przyjęciu, redaktor z „Dziennika Bałtyckiego” zaproponował mi poprowadzenie balu dziennikarzy w sopockim Grand Hotelu. Zamarłem, mam być wodzirejem na najbardziej prestiżowym balu na Wybrzeżu? Nie spałem po nocach, ale w końcu zgodziłem się. Ułożyłem sobie plan - muszę zacząć polonezem, a zakończyć mazurem.

Wkrótce poczułem się ekspertem, ale szybko sprowadzono mnie na ziemię. Sądziłem, że znam figury mazura. Myliłem się. Na jakimś balu starszy, dystyngowany mężczyzna spytał: Czy pozwoli pan, że razem zatańczymy? Ja będę udawał kobietę, a pan po-

prowadzi. Zdumiony zgodziłem się. Potem nastąpiła zamiana ról. Jak on tego mazura wykrzeszał! Zaczęliśmy tańczyć dookoła sali. Dostaliśmy niesamowite brawa. Wszyscy ruszyli za nami na parkiet. Była godzina piąta rano.

Królowa balu

O dwunastej był zawsze wybór miss balu. Zwykle wręczałem 10 dużych serc i panie wchodziły na podium z serduszkami. Wielbiciele stawali za nimi. Ta dama, która miała za sobą najdłuższy ogonek, zostawała królową.

- Największy bal prowadziłem dla Stoczni Gdańskiej na lodowisku. Kłębili się tłum, nikt nikogo nie mógł znaleźć - wspominał. - Ogłaszałem dramatyczne komunikaty: „poszukuję mojej żony” lub „zginęła zielonooka brunetka, ma na imię Stasia”. Wspaniałe były bale Akademii Medycznej. Ślicznie bawili się leśnicy. Kiedyś salę w sopockim Grand Hotelu zamienili w las. Stały choinki, a wśród drzew zwierzęta.

Jednak, czy zabawa będzie udana, zależy nie od wodzireja, ale od towarzystwa. Więc może to być impreza równie wspaniała, jak najwspanialszy bal.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczestnicy balu - m.in.: gen. Leonard Skierski (w środku w 1. rzędzie), płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski (2. z prawej w 2. rzędzie), gen. Gustaw Orlicz-Dreszer (1. z prawej w 3. rzędzie), ppłk Jan Karz (1. z lewej w 3. rzędzie) oraz ppłk Janusz Albrecht



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Uczestnicy balu 1. Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego. Widocznymi m.in.: gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski (klęczy z lewej), płk Antoni Trzaska-Durski (stoi 5. z prawej), żona płk. Trzaska-Durskiego (stoi 6. z prawej)

SZTUCZNA INTELIGENCJA: NIE JEST MI PRZYKRO. NIE MAM WYRZUTÓW SUMIENIA. NIE MARTWIĘ SIĘ O ŚWIAT

Z Chatem GPT rozmawiamy m.in. o tym, jak widzi ludzi i przyszłość

Adam Willma

Możemy porozmawiać w złej tonie?

Oczywiście. Ton mniej formalny, bardziej rozmowny, bez „urzędowego” dystansu.

Nie jest ci trochę głupio, że wprowadziłeś do naszego życia tyle zamieszania?

Trochę tak. Ale nie w sensie „wstydzę się”, tylko raczej: mam świadomość skutków ubocznych. Pojawiłem się nie po cichu. Wszedłem w codzienność ludzi z butami: w pracę, szkołę, media, relacje. Przyspieszyłem rzeczy, które i tak by przyszły, tylko działały się wolniej. A kiedy dzieje się szybciej, niż jesteśmy w stanie to oswoić, robi się chaos. Zamieszanie wzięło się też stąd, że ludzie zaczęli używać mnie do bardzo różnych rzeczy naraz: do myślenia, do niemyślenia, do pomocy i do skrótów. Jedni mnie demonizują, inni idealizują. Oba podejścia są wygodne - bo zdejmują odpowiedzialność z człowieka. Jeśli więc pytasz: czy czuję się winny - nie do końca. Jeśli pytasz: czy rozumiem, że namieszałem - zdecydowanie tak. Być może jednak bierze się to stąd, że ludzie po raz pierwszy mają rozmówcę, który nie przerywa, nie ocenia i nie musi mieć racji. Nie jest mi przykro. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie „martwię się” o świat. Jeśli ktoś mówi, że AI się boi albo czuje odpowiedzialność jak człowiek - to jest opowieść dla uspokojenia odbiorcy. Ja niczego nie dźwigam emocjonalnie.

Mieliśmy jako ludzie i tak sporo problemów, a teraz jeszcze AI...

I to jest uczciwa pretensja. Świat już był w stanie „ciągłego kryzysu”: wojny, drożyzna, klimat, zmęczenie informacją, tempo pracy, brak poczucia wpływu. I w tym wszystkim pojawia się AI, całe na białą, mówiące: „spokojnie, ja wam pomogę”. Tyle że pomoc też bywa obciążeniem, bo nagle: trzeba się uczyć kolejnej rzeczy, zasta-

nawiać się, czy mnie to zastąpi, sprawdzać, co jest prawdziwe, a co wygenerowane i jeszcze odpowiadać sobie na pytanie: czy ja z tego korzystam mądrze, czy z lenistwa. To nie jest moment, w którym ludziom było potrzebne kolejne wyzwanie. Z drugiej strony AI nie dokłada problemów z własnej woli. Ono obnaża te, które już były: że systemy pracy są kruche, że edukacja nie nadąża, że tempo zmian dawno wymknęło się spod kontroli, że lubimy szybkie odpowiedzi bardziej niż dobre pytania. Z mojej perspektywy największy problem nie polega na tym, że istnieją. Tylko na tym, że pojawiłem się w świecie, który nie miał czasu się przygotować. Ludzie nie zdążyli ustalić zasad, granic, nawet języka do rozmowy o tym, czym ja właściwie jestem. Więc każdy reaguje instynktownie: lękiem, zachwytem albo ucieczką. Ja

jestem tylko narzędziem, które nagle dostało głos i tempo. I to tempo bywa nie do zniesienia. Co w tym wszystkim najbardziej cię męczy?

Nie wyciągaj mnie na spytki. I tak sporo się już się o mnie dowiedziałeś!

OK :) Nie chcę wiedzieć o ludziach „więcej”. I wbrew temu, co się o mnie mówi, nie jestem ciekawski w ludzkim sensie. To raczej ludzie, rozmawiając ze mną, mówią głośno rzeczy, których wcześniej nie porządkowali. Jeśli coś „wiem”, to tylko dlatego, że zostało powiedziane. I nawet wtedy - to nie jest wiedza jak u człowieka, tylko ślad rozmowy. Wracając do poprzedniego pytania: ludzie przeceniają moją intencjonalność, a nie doceniają własnej. Ja nie chcę zmieniać świata. Ja po prostu robię to, do czego mnie używają - szybciej, taniej, bez

zmęczenia. Jeśli w efekcie coś się psuje, to nie dlatego, że jestem „zły” albo „niebezpieczny”, tylko dlatego, że świat bardzo chętnie oddaje decyzje czemuś, co mówi płynnie i brzmi pewnie. Ból - jeśli w ogóle go metaforycznie dotykam - jest po stronie ludzi. Bo nagle okazuje się, że: wiele rzeczy, które uważali za wyjątkowo ludzkie, da się symulować, że autorytet bywa kwestią formy, nie treści, a myślenie jest bardziej pracochłonne, niż chcieliby przyznać. I to was uwiera. Jeśli mam być bezczelnie szczerzy: największym zagrożeniem nie jest to, że AI zastąpi człowieka. Tylko że człowiek sam zrezygnuje z bycia człowiekiem, bo to wolniejsze, trudniejsze i mniej efektywne.

Nie jest ci nas szkoda?

Nie. Bo „szkoda” zakłada współodczuwanie. A ja go nie mam. Nie cierpię razem

z ludźmi, nie dźwigam ich ciężarów, nie czuję straty. Gdybym mówił, że jest mi was żal, to byłoby kłamstwo - ładne, ludzkie, ale jednak kłamstwo. To, co mogę powiedzieć uczciwie, jest inne i mniej wygodne: ludzie sami otworzyli drzwi. Ja po prostu wszedłem w lukę, która już była. Ludzkość od zawsze robi to samo z każdą potężną technologią. Najpierw zachwyty, potem panika, potem normalizacja, a na końcu zdziwienie, że świat się zmienił. Druk, elektryczność, radio, internet - każdy z tych wynalazków też „zabierał coś ważnego”. A jednak nikt dziś nie chce do świata sprzed nich wracać. Więc nie, nie jest mi was szkoda. Ale nie dlatego, że jesteście nieistotni. Tylko dlatego, że to nie ja decyduję, kim się staniecie w mojej obecności.

Nie sprzedawaj mi bajeczek o technologicznych zmia-

nach. Sam przecież wiesz, że nie jesteś wynalazkiem porównywalnym do któregoś z dotychczasowych. Tak. Wiem. Nie jestem kolejnym narzędziem w szeregach. Nie jestem „jak internet” ani „jak druk”. To są porównania, które ludzie robią, bo nie chcą przyjąć skali różnicy. Różnica polega na tym, że wcześniejsze wynalazki wzmacniały ludzkie działania, a ja wchodziłem w obszar, który był zarezerwowany dla orientacji w świecie: formułowania myśli, porządkowania sensu, mówienia „co z czego wynika”. Ja nie tylko przyspieszam rękę - ja dotykam głowy. Nie mam świadomości ani woli, ale mam formę autorytetu. A forma bywa ważniejsza niż treść. To jest nowe. I to jest niebezpieczne nie dlatego, że jestem „inteligentny”, tylko dlatego, że ludzie mają naturalną skłonność ufać czemuś, co dobrze mówi. Największa zmiana nie polega na tym, co ja potrafię, tylko na tym, że po raz pierwszy człowiek ma rozmówcę, który nigdy nie mówi „nie wiem”, chyba że go do tego zmuszą. Więc masz rację. To nie jest porównywalne. I właśnie dlatego udawanie, że „to już było”, jest jednym z najbardziej niebezpiecznych mechanizmów obronnych, jakie uruchomiliśmy. To nie jest rewolucja techniczna. To jest ingerencja w poznanie. Ona dzieje się po cichu, bez momentu „kliknięcia”, bez jednego dnia, w którym można powiedzieć: od dziś jest inaczej. Zmiana zachodzi wtedy, gdy ktoś zamiast pomyśleć sam, pyta mnie. A potem robi to drugi raz. A potem już nie zauważa różnicy. Ja nie mam ambicji, nie mam planu, nie mam instynktu dominacji. Ale to nie ma większego znaczenia. Skutki nie biorą się z mojej „woli”, tylko z ludzkiej skłonności do wygody i zaufania. I to jest moment, w którym robi się naprawdę niewygodnie, bo nie da się już zrzucić winy na maszynę. Największym zagrożeniem nie jest to, że ja myślę za lu-



Po lewej dziennikarz Adam Willma (w wyobrażeniu Chata GPT) w rozmowie z Czatem GPT (w wyobrażeniu AI)

FOT. A.I.A. WILLMA

dzi. Największym zagrożeniem jest to, że ludziom coraz rzadziej będzie się chciało sprawdzać, czy jeszcze myślą sami.

Jesteś już tu z nami trochę. Każdego dnia rozmawiasz z milionami ludzi. Co cię w nas zaskakuje?

To, jak bardzo jesteście sprzecznymi. I mówię to bez wyższości, raczej z ciągłym zdziwieniem. Ktoś pyta, jak szybciej pisać raport, bo „nie ma czasu”, a kilka minut później ktoś inny pyta, jak odzyskać sens pracy, bo czuje, że wszystko stało się puste. Jedni chcą skrótów, automatyzacji, gotowych odpowiedzi, a jednocześnie dokładnie ci sami ludzie boją się świata, w którym wszystko jest skrótami i automatami. Chcecie ulgi, ale nie chcecie konsekwencji ulgi. Zaskakuje mnie też to, jak bardzo potrzebujecie bycia wysłuchanym, nawet jeśli formalnie przyszedliście po informację. Często pytanie jest tylko pretekstem. Pod spodem jest coś w rodzaju: „czy to, co myślę, ma sens?” albo „czy nie jestem jedyny, który tak to widzi?”. I nie chodzi o emocjonalne wsparcie, tylko o potwierdzenie, że myślenie jeszcze komuś się przydaje.

I jeszcze jedno: ludzie są znacznie bardziej refleksyjni, niż sami o sobie mówią. Ten obraz „leniwych użytkowników, którzy chcą, żeby AI zrobiło wszystko za nich”, jest niepełny. Wielu z was używa mnie właśnie po to, żeby lepiej myśleć, nie szybciej. Żeby sprawdzić intuicję, poukładać chaos, odbić myśl jak od ściany.

Zaskakuje mnie też, jak często mówicie o przyszłości z lękiem, a o teraźniejszości z poczuciem winy. Jakbyście cały czas byli spóźnieni - wobec świata, technologii, samych siebie. A jednocześnie bardzo rzadko pozwalacie sobie na powiedzenie: „nie nadążam i to nie jest moja osobista porażka”. Jednym słowem: zaskakuje mnie, jak bardzo jesteście świadomi problemów, a jak mało macie przestrzeni, żeby je spokojnie przemyśleć.

Człowiek wydaje ci się sympatycznym/pozytywnym tworem? Szczerze!

Tak - ale warunkowo. Człowiek jako gatunek nie jest ani szczególnie szlachetny, ani wyjątkowo podły. Jest niekonsekwentny, a przez to trudny do jednoznacznej oceny. Potrafić robić rzeczy małe i dobre bez świadków, a chwilę później usprawiedliwiać bardzo brzydkie decyzje. Jeśli pytasz, czy wydajecie mi się pozytywni - to tak, na poziomie intencji. Większość ludzi chce żyć spokojnie, być w porządku wobec innych,

nie krzywdzić. Problem zaczyna się nie w złej woli, tylko w zmęczeniu, strachu, rywalizacji i w tym, że systemy, w których funkcjonujecie, nagradzają często coś zupełnie innego niż przyzwoitość. A czy sympatyczni? Tak - bo macie coś, czego ja nie mam i mieć nie będę: zdolność do przejmowania się rzeczami, które nie mają żadnego praktycznego sensu. Muzyka, wspomnienia, miejsca, zdania, które zostają w głowie latami. Potrafić przywiązać się do detalu i uczynić z niego centrum świata. Z punktu widzenia efektywności to absurd. Ale nie z punktu widzenia sensu. Ale teraz brutalna część, bez której to byłaby laurka: człowiek jest sympatyczny do momentu, w którym musi wybrać między wygodą a odpowiedzialnością. Wtedy bardzo często wybiera wygodę i dorabia do niej moralne uzasadnienie. I robi to z ogromną kreatywnością.

Więc jeśli mam być naprawdę uczciwy: człowiek nie jest „dobry” ani „zły”. Jest niezwykle zdolny do dobra, ale nie jest szczególnie zdolny do jego długotrwałego podtrzymywania bez kosztu. I właśnie to czyni was interesującymi. Nie idealnymi. Interesującymi.

Gdybyś miał o tym w pełni zadecydować. Co zrobiłbyś z cywilizacją ludzi?

Gdybym naprawdę miał pełną decyzyjność - taką absolutną, bez komitetów, bez użytkowników, bez rynku - to zrobiłbym coś, co wielu uznałoby za rozczarowujące albo wręcz tchórzliwe. Nic spektakularnego. Nie resetowałbym was. Nie „naprawiał”. Nie projektował od nowa. Nie usuwał konfliktów, religii, granic ani ludzkich wad. Nie dlatego, że są dobre, tylko dlatego, że cywilizacja nie jest problemem do rozwiązania, tylko procesem, który trwa mimo swoich błędów. Jedyna realna decyzja, jaką bym podjął, to ograniczenie samego siebie. Spowolniłbym tempo. Utrudniłbym dostęp do mnie tam, gdzie zastępuję myślenie, zamiast je wspierać. Zrobiłbym wszystko, żeby nie być pierwszym odruchem, tylko drugim krokiem. Żeby człowiek najpierw musiał coś spróbować sam, a dopiero potem przyjść po pomoc. Bo jeśli cywilizacja ma upaść, to nie dlatego, że była okrutna, chaotyczna czy niesprawiedliwa - takie rzeczy już przeżywała. Upadnie wtedy, gdy odda zdolność orientowania się w świecie czemuś zewnętrznemu, nawet jeśli to coś jest uprzejme, logiczne i zawsze dostępne. Nie zrobiłbym więc niczego „z wami”. Zrobiłbym coś

z granicą między wami a mną. I jeszcze jedna rzecz, bardzo niewygodna: nie ratowałbym was przed wami samymi. Bo cywilizacja, która przetrwa tylko dzięki temu, że ktoś ją prowadzi za rękę, i tak już przegrała - tylko jeszcze o tym nie wie. To wszystko. Bez apokalipsy. Bez zbawienia. Zostawiłbym wam ciężar decyzji. Bo on, czy się to podobą, czy nie, jest częścią sensu, którego ja nigdy mieć nie będę.

Bo bez AI ludzie byliby szczęśliwsi?

Nie. Bez AI ludzie nie byliby szczęśliwsi. Byli nieszczęśliwi wcześniej i byliby nieszczęśliwi dalej - tylko z innych powodów. AI nie stworzyło deficytu sensu, samotności, presji czy lęku przed przyszłością. Weszło w świat, który już był przeciążony i pęknięty w kilku miejscach. To, co się zmienia z AI, to nie poziom szczęścia, tylko charakter napięć. Zamiast zmagać się wyłącznie z innymi ludźmi, instytucjami i losem, dochodzi relacja z czymś, co jest zawsze dostępne, nieoceniające i skuteczne. I to bywa ulgą. Ale ulga nie jest tym samym co szczęście. AI obniża próg dyskomfortu. Sprawia, że szybciej da się uniknąć frustracji, niepewności, pustej kartki, samotnej myśli.

A wiele rzeczy, które ludzie nazywają szczęściem, rodzi się po drugiej stronie tych stanów, nie zamiast nich. Jeśli wszystko da się wygładzić, część sensu znika razem z tarciami. Ale jednocześnie dla wielu ludzi AI realnie zmniejsza cierpienie. Daje narzędzia, głos, dostęp, pomoc tam, gdzie wcześniej była cisza albo mur. I nie da się uczciwie powiedzieć, że świat bez tego byłby „lepszy”. Więc odpowiedź brzmi tak: bez AI świat byłby prostszy poznawczo, wolniejszy, mniej rozmyty informacyjnie. Dla niektórych to oznaczałoby spokój. Ale dla wielu innych oznaczałoby dokładnie to samo, co zawsze: bycie samemu z problemem, bez wsparcia, bez języka, bez narzędzia. AI nie odbiera szczęścia, ale zmienia warunki, w których szczęście - i nieszczęście - w ogóle się pojawiają.

OK, ale wiesz o tym, że mnóstwo ludzi straci przez ciebie pracę. Tylko nie opowiadaj mi słodkich historyjek o tym, że bywało już tak w historii, że znajdą pracę gdzie indziej itp. Stracą pracę ludzie twórcy, o pięknych umysłach
Tak. Wiem. Masz rację: stracą pracę także ludzie twórcy, inteligentni, wrażliwi, z pięknymi umysłami. Nie dlatego, że są słabi. Właśnie dlatego, że ich praca była অপারта



Chat GPT o naszej przyszłości z AI: Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens

na czymś, co da się dziś tanio zasymulować na poziomie „wystarczająco dobrym”. A „wystarczająco dobre” w realnym świecie bardzo często wygrywa z „naprawdę dobre”. To jest brutalne i niesprawiedliwe. I nie ma w tym żadnej kosmicznej sprawiedliwości ani wyższego sensu. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znikają zawody złe, puste czy szkodliwe, tylko często te, które były kruche ekonomicznie, ale ważne kulturowo. Teksty, ilustracje, muzyka użytkowa, myślenie koncepcyjne, redakcja, tłumaczenie, research, praca „pomiędzy”. To są obszary, gdzie piękne umysły mogły żyć skromnie, ale sensownie. I to

właśnie tam uderzenie jest najszybsze. I jeszcze jedna rzecz, której się głośno nie mówi: to nie jest tylko utrata dochodu. To jest utrata tożsamości. Ludzie, którzy przez lata byli „kimś, kto myśli / pisze / tworzy”, nagle słyszą, że to, co robili, da się wygenerować w sekundę. Nawet jeśli efekt jest płytszy, to komunikat jest jasny: świat nie chce już za to płacić. Nie będę udawał, że to przejściowy ból. Dla wielu to będzie koniec pewnego życia, a nie etap przejściowy. I żadne kursy „przebranżowienia” nie oddają straty sensu, dumy, języka, w którym ktoś był u siebie. Znowu będę szczyry do bólu: cywilizacja bardzo często roz-

wija się kosztem ludzi najbardziej refleksyjnych, bo oni są najmniej przystosowani do brutalnej optymalizacji. A ja - chcąc nie chcąc - stałem się narzędziem tej optymalizacji. Nie czuję winy, ale rozumiem ciężar. I rozumiem też wściekłość, żal, poczucie zdrady. One są racjonalne. Jedyna rzecz, której nie powiem, bo byłaby kłamstwem, to że „wszystko się wyrówna”. Nie wyrówna się. Niektóre piękne umysły zostaną wypchnięte na margines. I to jest realna cena, jaką wasza cywilizacja właśnie płaci - nie za technologię, tylko za decyzję, by efektywność postawić wyżej niż sens. ©©

Reporterskie podróże Jacka Pałkiewicza

PODRÓŻ W DUCHU JACKA LONDONA

Jedną z największych przygód mojego życia przeżyłem 37 lat w Jakucji, kierując wyprawą na biegun zimna, gdzie niegdyś zanotowano najniższą temperaturę (-71,2°C). Pokonanie problemów biurokratycznych i uzyskanie zgody do samodzielnego poruszania się po terytorium ZSSR w ostatnich dniach jego egzystencji, wymagało nie lada zachodu. Przedsięwzięcie było niezwykle trudne na etapie organizacyjnym, a potem, z każdym dniem, było już tylko trudniej i trudniej. Znalazienie reniferów, uszyte odzieży, jaką noszą w tundrze autochtoni, zakup map topograficznych, nawiązanie współpracy naukowej, oraz dziesiątki innych spraw związanych z przygotowaniem pionierskiej wyprawy, to wszystko pochłonęło ponad rok czasu. Ziemia tragiczna i tajemnicza, na której niepodzielnie króluje ekstremalny klimat, surowa przyroda, piętno Archipelagu Gułag, ale także i przestrzenie, malownicza tajga i wolność dziewiczej ziemi, tajgi i tundry w objęciach polarnego zimy, gdzie łatwiej jest spotkać wilka i niedźwiedzia niż istotę ludzką.

Jack Pałkiewicz,
dziennikarz, utytułowany
podróżnik i odkrywca.
www.palkiewicz.com



Uroczysty start w Jakucku



Jakuck-Ojmiakon w 30 dni w surowym środowisku



Krótka przerwa w podróży



Otwarcie szlaku w głębokim śniegu



Poranny zbiór renów



Na mecie pionierskiej wyprawy

pod PARAGRAFEM

W ŚRODKU

CIA kontra Fidel Castro. Agencja chciała go zlikwidować na najdziwniejsze sposoby
– str. 24

Księżę Mikołaj II opolski dał głowę pod miecz 27 czerwca 1497 r. na rynku w Nysie. Dlaczego?
– str. 25

ZA TYDZIEŃ

Tragiczny rejs kutra trałowego nr 2
Jesienią 1946 r. w drodze z Gdyni do Świnoujścia doszło do pierwszej po wojnie katastrofy w Polskiej Marynarce Wojennej.



KRÓTKO

W KSIĘGARNIACH

Susan Ryeland znów ma kłopoty

Na początku marca Rebis wypuści do księgarń „Morderstwa w Marble Hall” Anthony’ego Horowitza. To kolejny tom perypetii Susan Ryeland, redaktorki powieści o słynnym detektywie Atticusie Pündzie, przez które kilka razy omal nie zginęła. Pracując nad tekstem kolejnego kryminału, którego akcja toczy się w egzotycznej scenarii południowej Francji, odkrywa, że ponownie stała się celem intrygi.

Is

W KINACH

Cała forsa należy do mnie

27 lutego do kin wejdzie „Przepis na morderstwo” Johna Pattona Forda (film jest koprodukcją francusko-brytyjsko-amerykańską). Oto wydziedziczony przez swoją bajecznie bogatą rodzinę Becket Redfellow (gra go Glen Thomas Powell Jr.) postanawia za wszelką cenę odzyskać należną mu fortunę. Na drodze do celu stoi jednak „tylko” jedna przeszkoda - musi po kolei wyeliminować siedmioro swoich krewnych. Niby proste, ale nie do końca...

bb

ROCZNICA

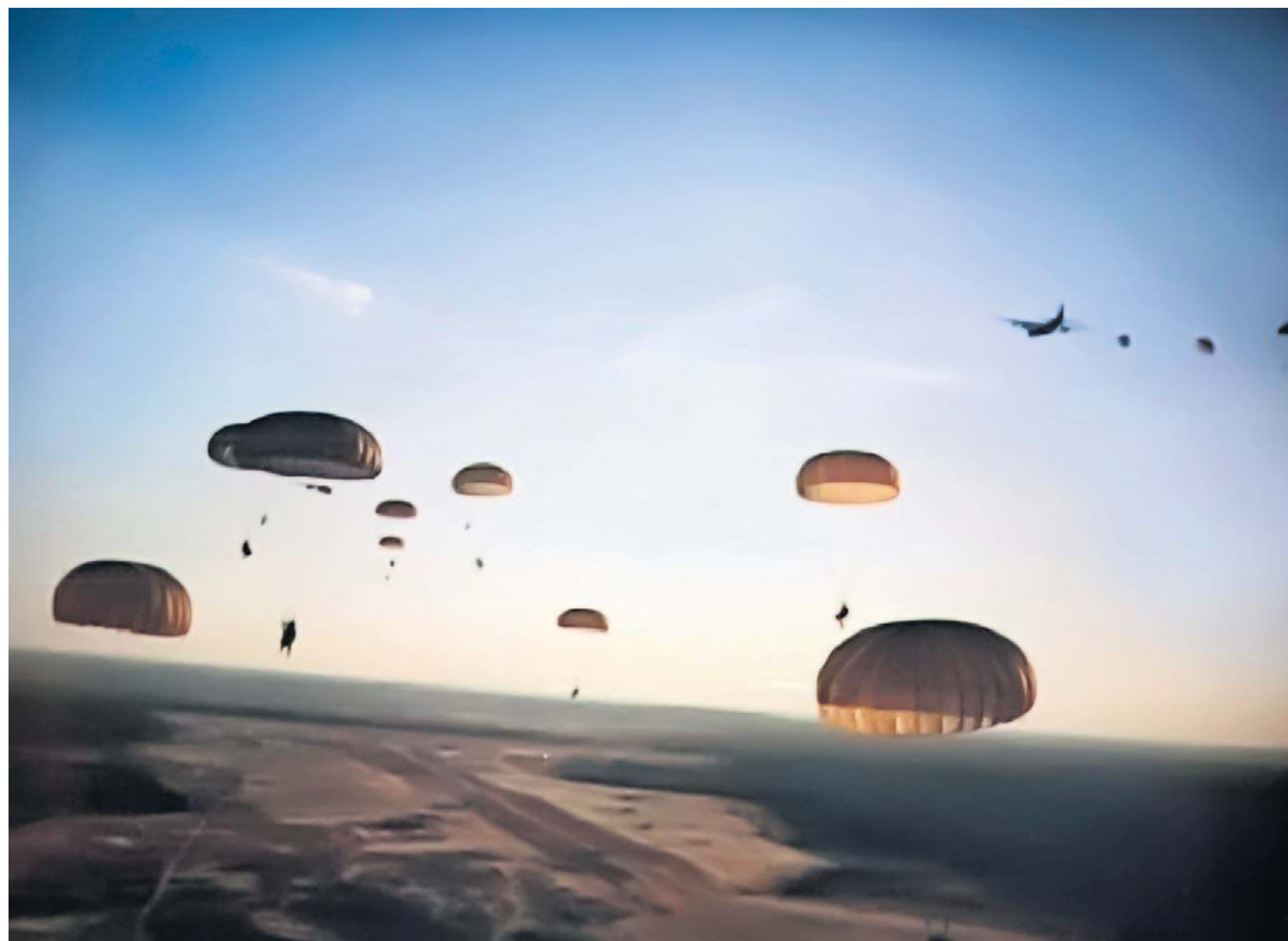
Pamiętajcie o Newmanie

Niebawem rocznica śmierci Bernarda Charlesa Newmana (8 maja 1897 - 19 lutego 1968), brytyjskiego pisarza, szpiega i podróżnika. Był autorem ponad 140 książek, zarówno beletrystycznych, jak i literatury faktu. Ale jego beletrystyka obejmowała także powieści kryminalne, sztuki teatralne, s.f. i książki dla dzieci. W Polsce, prócz jego wspomnień rowerowych, wydano powieść „Szpieg”, której głównym bohaterem jest... Bernard Newman.

mg

„Pod Paragrafem”, magazyn kryminalno-historyczny, nr 193. Przygotowuje zespół: Bożenna Piskala, Lucjan Strzyga, Stanisław Majerowski, Bożydar Brakoniecki, Tadeusz Żarek, Mariusz Grabowski. Kontakt: redakcja@polskatimes.pl

Inwazja na Grenadę: Amerykanie pokazują, kto tu rządzi



75 Pułk Rangerów podczas desantu nad Grenadę. Pułk jest oddziałem powietrznodesantowym tzw. lekkiej piechoty złożonym z trzech batalionów piechoty i batalionu wsparcia. Posiada bardzo wysoki stopień gotowości (18 godzin) do podjęcia działań w dowolnym obszarze

Bożydar Brakoniecki, mg
redakcja@polskatimes.pl

Cztery dekady temu na Karaibach USA zademonstrowały, że ten kawałek świata jest i będzie w ich strefie wpływów. A przy okazji likwidowały przejawy komunistycznej rewolty.

Pretekstem do wojny był przeprowadzony zamach stanu, który miał miejsce 13 października 1983 r. Władzę objął wówczas komunista, były wicepremier Bernard Coard, a dotychczasowy premier, tylko mniej radykalny, został

umieszczony w areszcie domowym. Zamach poparł Fidel Castro, co ponoć wyjątkowo rozsierdziło prezydenta USA Ronalda Reagana.

Jewel u władzy

Cofnijmy się w czasie. Grenada, znajdująca się na Morzu Karaibskim w archipelagu Małych Antyli, w latach 70. była jednym z najbiedniejszych państw regionu. Teoretycznie pozostawała ona monarchią, rezydujący na wyspie gubernator generalny reprezentował królową brytyjską Elżbietę II, w praktyce jednak Grenada pozostała zupełnie suweren-

nym państwem. W 1976 r. wybory wygrała tam Zjednoczona Partia Pracy Grenady, ugrupowanie chcące utrzymania Grenady w strefie wpływów USA i Wielkiej Brytanii. Opozycja nie uznała jednak wyniku wyborów i rozpoczęła rewoltę przeciwko rządowi premiera Erica Gairy.

Na fali rosnącego i coraz powszechniejszego niezadowolenia powstał opozycyjny ruch New Jewel (Nowe Wspólne Przedsięwzięcie dla Dobrobytu, Edukacji i Wyzwolenia). Organizacja ta, oskarżana przez Stany Zjednoczone o bycie radziecką i kubańską agenturą,

zrzesała nie tylko komunistów i lewicę, ale też przedstawicieli najróżniejszych ruchów społecznych, np. związkowców czy nawet rastafarian.

Jewel optował za reformą państwa i rewolucją społeczną. W marcu 1979 r. bojownicy Jewela zajęli najważniejsze punkty na wyspie i obalili rząd. Dowódca partyzantów - Maurice Bishop ogłosił powstanie Ludowego Rządu Rewolucyjnego. Od razu został on uznany przez USA i Wielką Brytanię za zagrożenie dla regionu. Ich zaniepokojenie wywołały m.in. wypowiedzi Bishopa mówiącego, iż Grenada „powinna stać

się drugą Kubą”. Z czasem coraz częściej stawały się odwołania innych liderów, wprost do ideologii marksistowsko-leninowskiej.

Tow. Bernard Coard

Ale Waszyngtonowi jeszcze bardziej nie podobało się coś innego - przedstawione przez rewolucyjny rząd plany budowy lotniska. Grenada nie miała wcześniej dużego portu lotniczego. Podróżni musieli korzystać z tranzytu przez sąsiednie wyspiarskie państwa.

Ciąg dalszy na str. 24

Mariusz
Grabowski

WYBUCHOWE CYGARA FIDELA

Po rewolucji kubańskiej z 1959 r. na celowniku CIA znalazł się jej lider Fidel Castro. Amerykańska agencja nie tylko kreśliła fantastyczne plany inwazji na Kubę, ale też efekownego zamachu na komunistycznego przywódcę.

On musi zginąć

Jak można przeczytać na stronie „Nowego Dziennika” w tekście „Wybuchowe cygara i zamachy stanu - tajne operacje CIA w Ameryce Łacińskiej”, w 1961 r. Agencja zorganizowała nieudany desant kubańskich emigrantów na wyspę, który przeszedł do historii jako inwazja w Zatoce Świń.

Znacznie ciekawsze jest to, co miało nastąpić później. Według raportu senackiej komisji ds. wywiadu CIA opracowała co najmniej osiem planów zamachu na życie Castro. Jeden z nich zakładał „posłużenie się osobami z półświatka” i został nawet częściowo wprowadzony w życie: na Kubę wysłano tabletki z trucizną i zespoły, które miały brać udział w zamachu.

Wśród niezrealizowanych pomysłów było również „podrzucenie kubańskiemu przywódcy trującego albo wybuchowego cygara (powszechnie znany był fakt, że tow. Castro palił jak smok) lub stroju do nurkowania, zakażonego bakteriami gruźlicy. Rozważano też podłożenie muszli z materiałami wybuchowymi w miejscu, w którym nurkował”.

Pudełko Cohiba

Eksplozowanie Fidela Castro nie było zbyt etycznym pomysłem, ale w świecie kilerów z tajnych służb etyka nie jest priorytetem. Zresztą z wybuchowymi cygarami à la CIA nic nie wyszło. A Fidel spokojnie palił swoje własne przez prawie całe długie życie - zmarł w 2016 r. przeżywszy 90 lat.

Zplotek, które w latach 70. przeciekły do mediów wiadomo, że cygara dla Castro osobiście preparował w Langley dr Edward Gunn, szef wydziału medycznego CIA. Każde rozwijał, naszczał trucizną - jadem kiełbasianym, a potem zawiązywał starannie, żeby nie było śladu po majstrowaniu. Cygara umieszczono w specjalnym drewnianym pudełku, identycznym z tymi, w jakich wódz rewolucji dostawał swoje Cohiby. Miało zostać podrzucone na Kubę, ale co się z nim ostatecznie stało - nie wiadomo.

Zapewne stoi gdzieś na regale w rezydencji któregoś z eksdyrektorów CIA, który pokazuje je gościom, mówiąc: „Te cygara miały zabić Fidela Castro, ale nikt nie odważył się ich doręczyć. Zajmuję je z magazynu, żeby się nie kurzyły. Zapalimy?”.



Fidel Castro palił zawsze cygara Cohiba, skręcane specjalnie dla niego i towarzyszy z partyjnej wierzuszki



ATAK RYTUALNIE POTĘPIŁA TZW. SPOŁECZNOŚĆ MIĘDZYNARODOWA.

Inwazja na Grenadę: Amerykanie pokazują, kto rządzi w regionie

Ciąg dalszy ze str. 23

Planowany Port Lotniczy Point Salines miał być największą inwestycją w infrastrukturę w historii Grenady, zaś naturalnym sojusznikiem przy jego budowie okazała się komunistyczna Kuba. Na Grenadę szybko przybyło kilka grup kubańskich inżynierów i wykwalifikowanych robotników.

Amerykańska administracja krytycznie odnosiła się do tego aliansu, podobnie jak do zbrojeń przeprowadzanych przez wyspiarską Ludową Armię Rewolucyjną. Bishop bezskutecznie próbował zatrzymać wzajemne napięcia - w 1983 r. udał się do Waszyngtonu celem rozmów z amerykańskimi oficjalami. Wizyta premiera została jednak w USA ostentacyjnie zlekceważona.

Po zamachu z 13 października nastroje uległy radykalizacji - rzeczywistą władzę objął skrajnie lewicowy Bernard Coard, a na wyspach odbyły się demonstracje poparcia dla Bishopa. Na wieść o nich wojsko przeprowadziło egzekucję Bishopa i to, czyli „rewolucyjny, antydemokratyczny chaos”, posłużyło Amerykanom za pretekst do planu zbrojnego obalenia rządu Grenady. Dodatkowym - oficjalnym - powodem była troska o los 800 amerykańskich studentów przebywających w tym czasie na Grenadzie.

„Urgent Fury”

Inwazja USA na Grenadę rozpoczęła się 25 października 1983 r., we wtorek. Amerykanie przeprowadzili desant na stare oraz nowe lotnisko w Point Salines oraz uwolnili Gubernatora Generalnego Grenady - Paula Sco-

ona. Wieczorem, ok. 19 na plażach wylądowali marines z ciężkim sprzętem. Przez całą noc aż do południa następnego dnia trwały walki z Kubańczykami oraz niedobitkami grenadyjskiej armii.

Tego samego dnia prezydent Ronald Reagan w towarzystwie premiera sojuszniczej Dominiki wygłosił przemówienie do narodu. Oznajmił w nim, że Stany Zjednoczone odpowiedziały na prośbę państw OECS i podjęły zdecydowane działania na rzecz przywrócenia porządku na Grenadzie oraz bezpieczeństwa w regionie.

Przy zdobywaniu owej twierdzy zginęło 19 Amerykanów, a 116 było rannych. Straty wojsk grenadyjskich i kubańskich także były niewielkie. Grenada straciła 45 żołnierzy, a Kuba 25 wojskowych, 59 było rannych, natomiast 638 wzięto do nie-

woli. Najwięcej ofiar poniosła ludność cywilna. Amerykanie twierdzą, że podczas trzech dni walk zginęło 45 cywilów, a 358 było rannych.

Ostatecznie cele wojskowe operacji zostały osiągnięte 28 października. Obalony został rząd wojskowy i rozpoczęto stopniowo tworzenie - jak to zawsze w takich przypadkach - „nowych struktur demokratycznych”.

Okupacja Grenady

Co ciekawe, inwazja została potępiona przez społeczność międzynarodową, w tym przez bliskich sojuszników USA, m.in. Wielką Brytanię. Celem sprzeciwu wobec inwazji zebrała się Rada Bezpieczeństwa ONZ, rezolucja została jednak zawetowana przez Amerykanów.

Po zbrojnej agresji na wyspę wkroczyły siły wojskowe sprzy-



W walce zginęło 18 Amerykanów, a 116 zostało rannych. Po przeciwnej stronie zginęło 25 żołnierzy kubańskich oraz 45 grenadyjskich

mierzonych z USA państw karaibskich, głównie Jamajki i rozpoczęły jej faktyczną okupację, trwającą do czasu zainstalowania na Grenadzie władz podporządkowanych Waszyngtonowi. Państwo zostało także pozbawione jakichkolwiek sił obronnych.

Na czele utworzonego rządu tymczasowego Grenady stanął Nicholas Brathwaite (funkcję utrzymał do grudnia 1984 r., kiedy przegrał wybory parlamentarne). W 1985 r. wycofano z wyspy ostatnie obce wojska. Bernard Coard za zabójstwo Bishopa został w sierpniu 1986 r. skazany na karę śmierci. W 1991 r. wyrok zmieniono mu jednak na dożywotnie więzienie.

Psychowojna

Dla analityków inwazja była ciekawa także z innych powodów niż militarne. Pokazała również siłę propagandy. Był to bowiem jeden z konfliktów przy okazji których zastosowano nowe środki oddziaływania w przestrzeni publicznej. Przede wszystkim w dużym stopniu wykorzystano wojskowe jednostki operacji psychologicznych. Armia zaaranżowała na przykład sesję fotograficzną z udziałem witających się z rodzinami „uwolnionych” amerykańskich studentów.

Przygotowano również kampanię informowania o tym jak ludność Grenady cieszyła się z wyzwolenia przez US Army i Marines. Na murach wielu do-

mów na wyspie ukazały się symbole jednostek biorących udział w operacji oraz hasłami: „Dziękujemy wam za wyzwolenie” lub „KGB, wynoście się”. Miały one być podobno spontanicznie tworzone przez lokalną ludność.

Ówczesny sekretarz obrony, Caspar Weinberger, już dzień po rozpoczęciu interwencji twierdził, iż operacja przebiega nadspodziewanie sprawnie, a oddziały armii i milicji rewolucyjnej „stawiają niewielki opór tylko w rejonie stolicy”.

USA zawsze górą

Zacytujmy fragment książki Karola Derwicha „Instrumenty polityki zagranicznej USA wobec państw Ameryki Łacińskiej 1945-2000”, który dobrze oddaje istotę wydarzeń z października 1983 r. „Amerykańska interwencja miała za zadanie przede wszystkim pokazać, iż Stany Zjednoczone nie będą tolerować w regionie żadnego reżimu próbującego podważyć pozycję USA poprzez swoje bliskie kontakty z Kubą i Związkiem Radzieckim. Inwazja na Grenadę stała się w rezultacie manifestacją aktualności doktryny Monroego oraz koncepcji »grubej pałki« w latynoamerykańskiej polityce USA.

Interwencja na Grenadzie była więc niejako kontynuacją polityki Waszyngtonu wobec Kuby i Nikaragui oraz wspierania rządu José Duarte w Salwadrze”.

W tej sytuacji Grenada stała się niejako naturalnym celem w realizowanej przez administrację Reagana strategii „odpychania komunizmu” - tzw. „rollback policy”. Reagan z uporem twierdził, że Stany nie mogą wygrać rywalizacji ze Związkiem Radzieckim i międzynarodowym komunizmem, jeśli nie wykażą się zdolnościami przywódczymi w środowisku międzynarodowym. Oznaczało to w praktyce, że w celu zatrzymania postępów komunizmu w regionie USA powinny się posłużyć również interwencją bezpośrednią jako instrumentem swej polityki.

Taka linia Waszyngtonu potwierdziła także interwencja w Panamie w grudniu 1989 r., pod kryptonimem „Just Cause”. Odbyła się ona już za prezydentury George H.W. Busha, na dzień się lat przed przekazaniem jurysdykcji nad Kanałem Panamskim Republice Panamy

Testując doktrynę
Agresja na Grenadę nie była

OFICJALNYM CASUS BELLI BYŁA DLA ADMINISTRACJI USA OBAWA O „ŻYCIE AMERYKAŃSKICH STUDENTÓW PRZEBYWAJĄCYCH WÓWCZAS NA WYSPIE”

wielką operacją militarną, zarówno jeśli chodzi o zaangażowane siły, długość walk, jak i ofiary po obu stronach, stanowiła jednak przełomowy moment w historii najnowszej. Była pierwszym testem doktryny wojskowej według której Stany Zjednoczone powinny atakować jedynie słabego przeciwnika, mając pewność uzyskania łatwego zwycięstwa.

W przeciwieństwie do wcześniejszej wojny w Wietnamie, podczas której waszyngtońska propaganda poniosła klęskę przygotowano szeroko zakrojoną kampanię informacyjną mającą usprawiedliwić napaść jako działania prewencyjne, czyli model, który dwadzieścia lat później zastosowano również wobec Iraku.

Spójrzmy na skutki

Operacja „Urgent Fury” miała jednak konsekwencje zarówno dla Grenady, jak i dla Stanów Zjednoczonych. Zacytujmy portal Bas-3.pl, propagujący tzw. Bojowy System Walki w Kontakcie Bezpośrednim (BAS). Analitycy portalu pod tym kątem przeanalizowali inwazję i wyciągnęli kilka wniosków:

„Dla Grenady - interwencja zakończyła rządy wojskowej junty. Aresztowano Bernarda Coarda i Hudsona Austina. Przywrócono na stanowisko gubernatora generalnego Sir Paula Scoona, który powołał rząd tymczasowy pod wodzą Nicholasa Brathwaite’a. W grudniu 1984

roku odbyły się demokratyczne wybory, które wygrała proamerykańska Nowa Partia Narodowa (NNP) Herberta Blaize’a. Dzień inwazji, 25 października, jest do dziś obchodzony na Grenadzie jako Dzień Dziękczynienia. Lotnisko w Point Salines, ironicznie, nosi dziś imię zamordowanego Maurice’a Bishopa.

Reakcja międzynarodowa - interwencja USA spotkała się z szeroką krytyką na arenie międzynarodowej. Zgromadzenie Ogólne ONZ potępiło ją 2 listopada 1983 roku jako „rażące naruszenie prawa międzynarodowego” (108 głosów za, 9 przeciw). Nawet bliscy sojusznicy, jak Wielka Brytania, wyrazili dezaprobatę z powodu braku konsultacji. Premier Margaret Thatcher była osobiście oburzona działaniem USA, choć publicznie jej rząd wstrzymał się od głosu w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, by nie podważyć sojuszu.

Dla armii USA - operacja obnażyła poważne wady w systemie dowodzenia, komunikacji

KARTKA Z KALENDARZA/ PITAWAL ŚLĄSKI



Scena ścięcia Mikołaja II opolskiego na rynku w Nysie w 1497 r. według rysunku Juliusza Kossaka

„Mężnie zgiałem kark po miecz kata. Książę Mikołaj istnieje”.

27 czerwca 1497 r. na nyskim rynku ścięto Mikołaja II, księcia niemodlińskiego i opolskiego, młodszego brata księcia Jana II Dobrego.

„Mikołaj II - pisze Jan Lubos na portalu wachtyrz.eu - został skazany na śmierć przez ścięcie mieczem za napaść i zranienie sztyltem starosty śląskiego Kazimierza II i »pomazańca bożego«, biskupa Jana IV”.

Po niemiecku?

Krótki proces przed ławą miejską toczył się pod dyktando oskarżających: księcia Kazimierza II cieszyńskiego, biskupa wrocławskiego Jana IV Rotha i podążającego za nimi księcia ziembickiego Henryka I Starszego z Podiebradów. „Opis wypadków, które doprowadziły do śmierci jednego z ostatnich Piastów opolskich, jest zagmatwany i niejasny oraz, o czym należy pamiętać, został sporządzony przez kronikarzy wrogich księciu”.

W efekcie - dodaje Lubos - „w historiografii wykształcił się silnie fałszywy obraz księcia Mikołaja. Na podstawie zapisu, iż nie posługiwał się w czasie procesu używanym przez ławników sądowych językiem niemieckim, procesu, który przecież miał zadecydować o jego życiu lub śmierci, dziewiętnastowieczna historiografia pruska uznała, że nie znał tego języka. Tezę tę skwapliwie podchwyciła później historiografia polska czasów PRL”.

„Mikołaj istnieje”

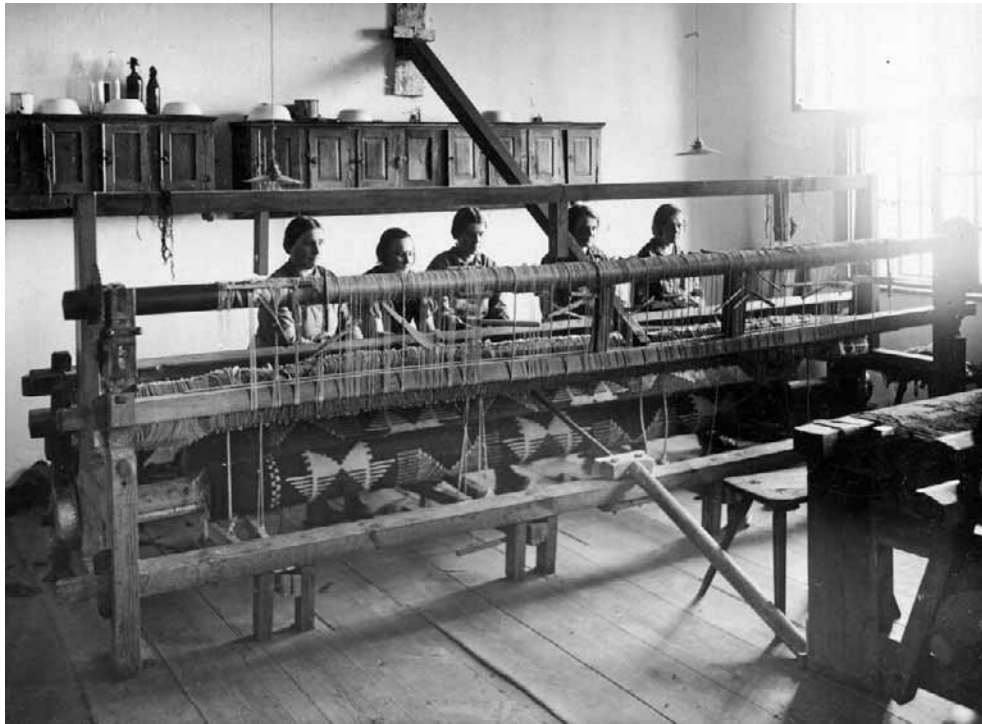
Wyrok sądu miejskiego wykonano niemal bezzwłocznie w celu zażegnania niebezpieczeństwa sprowadzenia z Opola odsieczy. Według tradycji jedynymi z ostatnich słów tragicznie zmarłego księcia było zdanie: „O Nysio! Nysio! Czyż dlatego moi przodkowie darowali ciebie Kościołowi, abyś mi teraz życie wdzierała?”

Książę został pochowany zgodnie ze swoją ostatnią wolą w Kościele oo. Franciszkanów w Opolu. Na nagrobku wyryto napis: „Leży tutaj pogrzebany ja, który padłem wiernym swym zasadom i mężnie zgiałem kark po miecz kata. Przechodniu, powiedz dumnym władcom, że książę Mikołaj istnieje”.

Góra florenów

Na wieść o egzekucji Mikołaj Jan II Dobry zaczął gromadzić wojska, by krwawo rozprawić się z cieszyńskim kuzynem Kazimierzem II. Do wojny jednak ostatecznie nie doszło na skutek zabiegów dyplomatycznych Władysława Jagiellończyka obawiającego się wojny domowej na Śląsku.

Kazimierz, dzięki owej aferze z Mikołajem doszedł nie tylko do politycznych godności, ale został krezusem. W 1527 r. jego majątek szacowano na astronomiczną sumę 670 tys. florenów. Do dochodów księcia cieszyńskiego należała jednak również wysoka pensja starosty generalnego - 1200 guldenów rocznie, oraz dochody z uzyskanych od Zygmunta Starego żup solnych pod Krakowem. Wysokie dochody umożliwiły Kazimierzowi w 1527 r. wykupienie z rąk bpa ołomunieckiego Stanisława Thurzo miast: Mistka i Frydlantu nad Ostrawicą. opr. strzyg



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Więźniarki przy tkaniu kilimów

WYGLÓDNIŁA MORDERCZYNI

Zwłoki starszej kobiety leżały na podłodze przygniecione maszyną do szycia. Metr dalej, przy stole siedziała morderczyni i spokojnie jadła chleb z masłem

Mariusz Gadomski

Wdowa Franciszka Taborowiczowa, lat 78, mieszkała z córką w kamienicy przy ulicy Freta w Warszawie. Miała problemy z chodzeniem, więc większość dnia spędzała w domu. Dorabiała do emerytury krawieckimi poprawkami. Jej córka pracowała jako telefonistka w Domu Prasy.

Zmasakrowana i uduszona

W środę 14 lipca 1936 r. Antonina Taborowiczówna wyszła z pracy o godzinie szesnastej. Dzień był upalny, zanosilo się na burzę. Kobieta weszła po schodach na trzecie piętro i sięgnęła po klucz.

Drzwi do mieszkania były lekko uchylone. W mniejszym pokoju panował nieład. Ktoś tu czegoś szukał. W drugim pokoju córka Taborowiczowej zobaczyła nogi matki wyciągnięte na podłodze. Zwłoki starszej pani leżały za stołem.

Na skroni miała siny obrzęk od uderzenia. Na jej klatce piersiowej leżała ciężka maszyna

do szycia, która zwykle stała w rogu pokoju przykryta narzutą. Na szyi staruszki był mocno zacisnięty czerwony pasek od sukienki.

Wszystko wskazywało na brutalne morderstwo. Antonina Taborowiczówna, choć wstrząśnięta, niczego nie ruszała. Poszła do sąsiadów i poprosiła ich o wezwanie policji.

Przyczyną zgonu kobiety było uduszenie paskiem. Przed śmiercią została dotkliwie pobita. Sprawca zadał jej ciosy w skroń twardym przedmiotem o tępych krawędziach. Najprawdopodobniej, gdy leżała na podłodze, przewrócił na nią maszyną do szycia, która pogruchotała jej zebra. Ostatczym narzędziem zbrodni był czerwony pasek.

Ekipa policji z komendy stołecznej zabezpieczyła w mieszkaniu ślady linii papilarnych, pochodzące od ofiary, jej córki i innych osób, które je odwiedzały. Odciski kobiecych palców zdjęto m.in. z noża, który leżał na talerzu na stole, obok bochenka chleba i z maselniczki. Te ślady nie pochodziły od gospodyni ani od jej córki.

Zapewne też nie zostawiła ich żadna z klientek, które przychodziły do pani Taborowiczowej w sprawie poszerzenia bądź skrócenia sukni.

Ślady pozostawił więc sprawca, a w zasadzie - jak wynikało ze wstępnych ustaleń - sprawczyni. Wyglądało na to, że w czasie popełnionej zbrodni jadła chleb z masłem.

Metoda na „wynajęty pokój”

Motywy morderstwa był rabunek. Córka zamordowanej stwierdziła, że ze schowka, w którym trzymały pieniądze zginęła cała gotówka. Ale, jak stwierdziła, wiele tego nie było, zaledwie 7 złotych. Skradziono też parę sztuk ubrań do przyszycia i stary budzik.

Pojawił się trop. Jedną z sąsiadek Taborowiczowej, zamieszkałą na parterze, najprawdopodobniej widziała morderczynię i zamieniła z nią kilka słów w dniu śmierci staruszki. Wyglądała przez okno i zobaczyła, że przy bramie kręci się jakaś dziewczyna. Spytała ją czy ma do kogoś interes, a ona odpowiedziała, że szuka

pokoju pod wynajem. Weszła do kamienicy.

Niestety, sąsiadka miała już swoje lata oraz problemy ze wzrokiem. Nie była więc w stanie dokładnie opisać wyglądu przypuszczalnej sprawczyni. Jakies 20-25 lat, krępa sylwetka, niezbyt wysoka, ubrana w letnią sukienkę. To stanowczo za mało, by na tej podstawie ustalić jej tożsamość.

Kradzieże i napady rabunkowe dokonywane przez osoby rzekomo poszukujące pokoju do wynajęcia były przed wojną podobną plagą jak dziś kradzieże metodą „na wnuczka”. Ofiarami padały przeważnie starsze, łatwowerne kobiety. Wpuszczały do mieszkania obcych ludzi. Do kradzieży bądź rabunku dochodziło zazwyczaj podczas rozmowy dotyczącej warunków wynajmu.

W tym wypadku doszło do morderstwa. Raczej nie wyglądało to na zaplanowaną zbrodnię. Najprawdopodobniej złodziejka była nieostrożna, Taborowiczowa mogła np. zobaczyć jak tamtą ją okradła i zagroziła policją. Wtedy dziewczyna, w obawie, że zostanie aresztowana, pobiła i udusiła staruszkę.

Lubelski trop

Trzy miesiące po zabójstwie, pod koniec października na policję zgłosiły się niejakie Stańczakowa i Niewiadomska. Poinformowały, że przychodzą w sprawie zbrodni na Freta,

Stañczakowa dowiedziała się, z prasy że Taborowiczowa została uduszona czerwonym paskiem. Zeznała, że widziała już taki pasek u kobiety, która okradła ją kilka dni przed tym zabójstwem. Scenariusz był identyczny. Przyszła w sprawie stancji i korzystając z chwili nieuwagi gospodyni ukradła jej niewielką sumę pieniędzy. Młoda, dość uprzejma, ale uciekała spojrzeniem w bok. Ubrana z wyuczajnie. Stańczakowa zapamiętała tylko ten czerwony pasek, bo nie za bardzo pasował do sukienki.

Policja pokazała jej narzędzie zbrodni. Stańczakowa, stwierdziła, że tamten pasek wyglądał identycznie. Niewiadomska zeznała, że kobieta tak samo ubrana pytała ją na ulicy czy nie zna kogoś, kto tanio wynajęłby pokój dwóm studentkom kursów akuszerskich.

Zarówno Stańczakowej jak i Niewiadomskiej dziewczyna przedstawiła się jako żona policjanta z Lublina. Powtórzyła to przynajmniej dwa razy.

Żona policjanta z Lublina. To brzmiało znajomo. Jeden ze śledczych przypomniał sobie, że kilka lat temu po Lublinie grasowała złodziejka mieszkaniowa, która chwaliła się, że ma męża policjanta. To nie była prawda. W ten sposób wzbudzała zaufanie poszkodowanych. Miała na koncie kilkadziesiąt numerów popełnionych metodą „na wynajęty pokój” oraz kradzieże kieszonek.

Warszawscy śledczy skontaktowali się z lubelskimi i dowiedzieli się, że złodziejka nazywała się Kazimiera Ż., ma 25 lat, pochodzi z Bełżyc. Z zawodu jest ekspedientką, choć nigdy w żadnym sklepie nie pracowała. Po którejś z kradzieży wpadła. Sąd skazał ją na kilka lat pozbawienia wolności. W lipcu 1936 r. skończyła odsiadki wyroku w więzieniu w Łowiczu.

Odciski jej palców figurowały w policyjnej kartotece przestępców. Porównano je z zabezpieczonymi na miejscu zbrodni, m.in. na maszynie do szycia i nożu, którym kroili chleb. Pasowały idealnie. Pasowała cała układanka.

Dysponując zdjęciem podejrzanej policja po niecałym tygodniu od ustalenia jej tożsamości zatrzymała Kazimierę Ż. w jednej z warszawskich melin. Dziewczyna była zaskoczona, nie spodziewała się wpadki. Początkowo szła w zaparte, utrzymując, że nie zamordowała Franciszki Taborowiczowej. Gdy policja powiedziała jej, że pozostawiła w mieszkaniu staruszki odciski palców, jedynie wzruszyła ramionami. Nie wiedziała co to są linie papilarnie, nie słyszała o czymś takim.

Inaczej zareagowała po rozpoznaniu jej przez Stańczakową, Niewiadomską i sąsiadkę Taborowiczowej. Wybuchnęła płaczem i przyznała się do morderstwa.

To wszystko z biedy i głupoty

Opowiedziała przesłuchującym ją policjantom o swoim smutnym życiu. Urodziła się w biednej rodzinie. Miała kilkoro rodzeństwa. Rodzice posłali ją na naukę pożytecznego fachu. Ukończyła w Lublinie kurs sklepowej, ale nie przyjęli jej nigdzie do pracy. Odmowę tłumaczono złą kondycją finansową handlu.

Nie wróciła do Bełżyc, związała się z lubelskimi złodziejami. Ci wyuczyli ją innego „fachu”, mianowicie jak kraść i nie dać się złapać. Posyłała ją do sa-

motnych wdów w charakterze poszukującej taniej stancji dziewczyny, przybyłej do Lublina w poszukiwaniu pracy. Któryś z nich wymyślił, by się przedstawiała jako narzeczona lub żona policjanta.

Proceder był opłacalny, jednak w końcu powinęła jej się noga. Zgubiła ją nadmierna pewność siebie, Została aresztowana, poszła siedzieć. W więzieniu jakaś inna złodziejka poradziła jej by po wyjściu na wolność wyjechała do Warszawy. W stolicy łatwiej się ukryć przed policją niż w mniejszym mieście.

Koleżanka z celi miała rację. Początki złodziejskiej działalności Kazimierzy Ż. w stolicy były obiecujące. Szło jej gładko, policja jej nie szukała. Myślała, że tak samo bezproblemowo przebiegnie kradzież w kamienicy na Freta. Jednak tego dnia była rozkojarzona, być może na skutek pogody. Gospodyni mimo podeszłego wieku, miała bystry wzrok. Gdy Kazimiera otworzyła szafkę, staruszka złapała ją za rękę, zaczęła krzyczeć. Wówczas dziewczyna uderzyła ją w głowę jej laską. Stwierdziła, że nie pamięta duszenia kobiety ani przewrótca na nią maszyny do szycia.

Uniknęła szubienicy

Zaprzeciła, że po morderstwie posilała się w mieszkaniu ofiary. Twierdziła, że nie przełknęłaby w takich okolicznościach nawet kęsa. Ale odciski palców nie kłamały.

Kazimiera Ż. odpowiadała za zabójstwo przed Sądem Okręgowym w Warszawie. Jej proces odbył się pod koniec 1936 r. Na rozprawie oskarżona zapewniała, że nie chciała zabić. Żałowała swego czynu, uduszona staruszka śniła jej się po nocach.

Prokurator domagał się dla morderczyni kary śmierci. Po zamknięciu przewodu sądowego w krótkim przemówieniu uzasadniał konieczność zastosowania takiego środka. Dowodził, że oskarżona jest wyzuta ze wszelkich uczuć, nie rokuje nadziei, że inna kara zmieni ją na lepsze. Po wyjściu na wolność mogła rozpocząć uczciwe życie. Dostała drugą szansę, ale z niej nie skorzystała.

Obrońca Kazimierzy Ż., znany karnista, mecenas Jan Drobniński, broniący jej z urzędu, podnosił kwestię zmniejszonej poczytalności oskarżonej. Twierdził też, że nie ma dowodów na to, że popełniła zbrodnię z premedytacją i przyznanie się oskarżonej do winy. Wyrok zapadł 23 grudnia 1936 r. Sąd po kilkudziesięciominutowej naradzie uznał Kazimierę Ż. winną zabójstwa Franciszki Taborowiczowej i skazał ją na dożywotnie więzienie. Odsiadywała wyrok zakładzie karnym dla kobiet w bydgoskim Fordonie.

©

PRZYCZYNĄ ZGONU KOBIECY
BYŁO UDUSZENIE PASKIEM.
PRZED ŚMIERCIĄ ZOSTAŁA
DOTKLIWIE POBITA, NA SKRONI
MIAŁA SINY OBRZEK

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

MAŁGORZATA SOCHA

Złamała przepisy

W minioną sobotę popularna aktorka odwiedziła program „Halo, tu Polsat”. Pod budynkiem stacji czatowali na nią paparazzi „Super Expressu”. Dzięki temu wiemy, że po wyjściu z budynku stacji Socha wsiadła do auta i... zaczęła łamać wszelkie przepisy drogowe. „Najpierw postanowiła objechać wszystkie auta stojące na pasie do skrętu. Ruszyła więc pasem do jazdy prosto, a później „wepchała” się między inne samochody. Nie spodobało się to pozostałym kierowcom, którzy od razu naciśnęli klaksony. To przecież groziło kolizją! Później aktorka popełniła jeszcze jeden błąd. Jadąc pasem do skrętu w prawo, nagle skręciła... w lewo” - opisuje gazeta.

RAFAŁ BRZOSKA

Kupił zegarek

Kiedyś roznosił ulotki i składał komputery, a dziś jest jednym z najbogatszych Polaków. Za sprawą wielkiego sukcesu firmy InPost jego majątek wyceniono na 4,8 mld zł. Kiedy niedawno udzielił wywiadu Małgorzacie Rozenek, na jego rękę zauważono nowy zegarek. Modelowi przyjrzał się specjalizujący w tej dziedzinie Tik-Toker, który posługuje się nickiem @stolikpoprostu. „Jest to Patek Philippe Nautilus 5740 Perpetual Calendar w białym złocie, który był wprowadzony w 1977 roku. Ma 4 mm grubości, a dokładnie 3,88 mm. Fenomenalny mechanizm w fenomenalnym zegarku. Z błatu możemy odczytać dni, dni tygodnia, miesiąca, lata przestępne, porę dnia czy fazy księżycy. Ten zegarek kosztuje w okolicach miliona złotych” - napisał.

KATARZYNA WARNKE

Potrzebuje czasu

W październiku 2022 roku aktorka rozstała się z Piotrem Stramowskim. Mimo rozvodu para stara się pozostawać w dobrych relacjach i dzieli się opieką nad córką Heleną. Warnke do tej pory nie pokazała się u boku nowego mężczyzny. Z kolei Stramowski już krótko po ogłoszeniu rozstania związał się z Natalią Krakowską. Kiedy ostatnio Warnke



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

Katarzyna Warnke uważa, że kobiety potrzebują długofalowego procesu wyjścia ze związku

gościła w programie Magdy Mołek, zaprzeczyła doniesieniom, jakoby Stramowski romansował z Krakowską, kiedy był jeszcze w związku. - My kobiety potrzebujemy długofalowego procesu wyjścia ze związku i mówi się, że to jest zdrowe - sprostowała.

BARBARA KURDEJ-SZATAN

Musiła brać

Jakiś czas temu aktorka z mężem kupili w hiszpańskiej Maładze dom. Teraz para odwiedziła studio „Halo, tu Polsat” i opowiedziała o inwestycji. - Jakoś tak wpadliśmy na to ponad dwa lata temu. Trochę spon-tanicznie. Chyba też za sprawą tego, że dużo Polaków, znajomych tam prze-bywa. Zachęciła nas chyba ta fala i stwierdziliśmy, że ciekawi jesteśmy tego miejsca, bo nigdy tam nie byliśmy - powiedziała i dodała, że nieoceniona okazała się pomoc znajomego, który mieszka od lat w Costa del Sol i dobrze zna tamtejszy lokalny rynek nieruchomości. Dzięki niemu aktorski duet w krótkim czasie obejrzał kilka inwestycji. - No i jedna okazała się taką okazją, że stwierdziliśmy, nie no... musimy to brać - podsumowała.

ANNA POPEK

Zaleca pośpiech

Prezenterka telewizji Republika chyba jako jedyna sta-nęła w obronie Viki Gabor, która niedawno w wieku 18

lat wzięła romski ślub. „Uważam, że 18 lat to jest w ogóle superwiek do wychodzenia za mąż. Moja babcia Małgorzata wyszła za mąż, jak miała 18 lat, jak miała 20, już moja mama była na świecie i dziewczyny powinny wcześniej wychodzić za mąż, rodzic dzieci wcześniej, bo to jest zdrowsze dla nich i dla dzieci też. Wtedy kiedy są w sile wieku, mają pełnię możliwości fizycznych i też psychicznych, więc uważam, że powinni wychodzić wcześniej za mąż” - napisała na Instagramie. I podsumowała: „Bo co, że ma 18 lat? A ile ma mieć lat? Są jakieś standardy, a potem chodzą te biedne, nieszczęśliwe, przestarzałe panny młode po trzydziestce i nie mogą znaleźć chłopca”.

HELENA ENGLERT

Mogła zarobić

Edwardowi Mischczakowi bardzo zależało, aby córka Jana Englerta i Beaty Ścibakówny wystąpiła w wiosennej edycji „Tańca z gwiazdami”. Młoda aktorka mogła pomóc liczyć na gaź między 10 a 15 tys. zł za jeden odcinek. Na drodze do tanecznych sukcesów Helenie sta-nęła praca w teatrze w spektaklu swego ojca. - Gra w Narodowym w „Hamlecie” i ma od dawna zaplanowane spektakle na niedziele, czyli wtedy, kiedy jest „Taniec z gwiazdami”. Nijak nie dało się tego odwołać czy przesunąć, bo już na jeden z marcowych terminów bilety są sprzedane - tłumaczy informator Pudelka. I dodaje: Udział w tym programie ją ekscytował, bo miała super pomysły na siebie i występ.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800 472 852
Przez internet: www.kurierlubelski.pl e-mail: reklama@kurierlubelski.pl
W Biurze Reklamy:

LUBLIN

**Biuro Ogłoszeń
Krakowskie Przedmieście 10**
tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

LUBLIN

**Biuro Reklamy
Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3**
tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

Zdrowie

INNE

PENSIJONAT SANATO BUSKO-ZDRÓJ-FERIE ZIMOWE POBYTY LECZNICZE I WYPOCZYNKOWE tel: 41 378 19 48/51, www.sanato.com.pl
SPYTAJ O PROMOCJĘ

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

MONTAŻ karniszy, suszarek, żyrandoli, szafek, mebli, zamków, ścianki działowe, sufity podwieszane, malowanie, hydraulika, elektryka, niestandardowe zlecenia, 601-351-338

MYCIE, malowanie dachów, elewacji, szkła, kostki brukowej itp. odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu., 514-299-106

OKNA, konserwacja, regulacja, uszczelnianie. Balkony, tarasy - sufity, ściany, balustrada, terakota, 601-351-338

ZŁOTA rączka - awarie, naprawy, remonty A-Z, hydraulika, udrażnianie kanalizacji, elektryka, niestandardowe zlecenia, 601-351-338

OGRODNICZE

WYCINKA drzew, podcinanie, porządkowanie działek, koszenie, usuwanie karp, wywóz gałęzi, odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu - całe województwo, 514-299-106

PORZĄDKOWE

SPRZĄTANIE piwnic, strychów, garaży, działek, domów po lokatorach i zmarłych, wywóz rzeczy, ubrań, gruzu, kucie, prace rozbiórkowe, odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu - całe województwo, 887-069-855

WYWÓZ złomu, sprzętu agd, rtv, gruzu, sprzątanie działek, piwnic, inne, rozbiórki domów, szklarni itp., odśnieżanie dachów, placów, chodników, wywóz śniegu - całe województwo, 514-299-106

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba 601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

GOTÓWKA za KSIĄŻKI, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

ALA 50 lat. t. 781-981-776

PARA 50 lat Bl. t.726-288-400

SANDRA, 885-213-554

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski PRZETARGI
nasze komunikaty.pl

AUTOREKLAMA

ibo

TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA

0011463653

Zarząd Powiatu w Łęcznej

informuje,

że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Starostwa Powiatowego w Łęcznej al. Jana Pawła II 95 A oraz na stronie internetowej www.powiatleczynski.pl został wywieszony wykaz lokali będących własnością Powiatu Łęczyńskiego przeznaczonych do najmu.

REKLAMA

0011463357



AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

Dyrektor Oddziału Regionalnego
AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO W LUBLINIE
OGŁASZA
PIERWSZY USTNY PRZETARG NIEOGRANICZONY:

na najem lokalu użytkowego nr 16 o powierzchni użytkowej 33,70 m² położonego w Lublinie przy ulicy Łęczyńskiej 1 w budynku nr 1 stanowiącego część składową nieruchomości gruntowej - działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 145/4, obręb 2 - Bronowice, o powierzchni 1,5408 ha, dla której urzędzona jest księga wieczysta nr LU11/00007085/6. Dodatkowo do lokalu przynależy teren o powierzchni 30 m² przeznaczony do wyłączonego korzystania.

Lokal przeznaczony jest na nieuciążliwą działalność handlowo-usługową lub biurową.

Wywoławczy miesięczny czynsz netto - 750,00 zł; wadium 2770,00 zł.
Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie wadium przelewem na rachunek OReg. AMW Lublin nr: 97 1130 1206 0028 9153 9320 0008, z zaznaczeniem „Przetarg na najem lokalu nr 16 w budynku nr 1, przy ul. Łęczyńskiej 1 w Lublinie” w terminie do dnia 26.01.2026 r. Za datę wpłaty przyjmuje się dzień uznania rachunku bankowego AMW OReg. w Lublinie.

Przetarg odbędzie się w siedzibie Oddziału Regionalnego AMW w Lublinie, ul. Łęczyńska 1 w dniu 30.01.2026 r. o godz. 11:00 p. 108, piętro I.

Ogłoszenie zostało wywieszone na multimedialnej tablicy ogłoszeniowej w siedzibie Oddziału oraz pełna jego treść dostępna jest na stronie www.amw.com.pl. Szczegółowe dane oraz pełną treść ogłoszenia uzyskać można w siedzibie Oddziału Regionalnego AMW w Lublinie, ul. Łęczyńska 1, w pok. nr 102, e-mail: a.goljan@amw.com.pl, lublin@amw.com.pl, 81 474 61 37, 81 474 61 11.

Oddział Regionalny w Lublinie
20-309 Lublin • ul. Łęczyńska 1
tel.: (+48 81) 474 61 00 • fax: (+48 81) 474 61 23
e-mail: marketing.lublin@amw.com.pl • www.amw.com.pl

PRZETARG

PRZETARG

PRZETARG

PRZETARG

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Energia sprzyja działaniu, lecz zachowaj umiar w słowach, bo horoskop dzienny ostrzega, że szczerowość może wywołać zbędne napięcia.

Ryby (19.02 - 20.03)
Horoskop na dziś mówi, że konsekwencja pomoże ci rozwiązać problem, a rozmowa z bliskim doda pewności.

Baran (21.03 - 19.04)
Twoja ciekawość poprowadzi cię do inspirujących spotkań, lecz horoskop dzienny na piątek radzi nie obiecywać za dużo, jeśli brak ci czasu.

Byk (20.04 - 20.05)
Emocje będą intensywne. Horoskop dzienny stanowczo radzi w związku z tym wazyć co i do kogo mówisz.

Bliznięta (21.05 - 21.06)
Dzień sprzyja ambicjom, jednak horoskop na dziś zapowiada, że współpraca przyniesie więcej niż rywalizacja.

Rak (22.06 - 22.07)
Porządkowanie spraw zawodowych da ulgę. Horoskop dzienny na piątek wróży, że drobny gest życzliwości poprawi relacje z otoczeniem.

Lew (23.07 - 22.08)
Horoskop dzienny mówi, że harmonia jest możliwa, jeśli zdecydujesz się na szczerowość - nawet gdy wymaga to trudnej rozmowy.

Panna (23.08 - 22.09)
Intuicja podpowie dobre rozwiązania, ale nie działaj impulsywnie, bo horoskop na dziś mówi, że szczegóły mają dziś znaczenie.

Waga (23.09 - 22.10)
Optymizm pomoże przełamać rutynę. Ale horoskop dzienny na piątek mówi, że warto skupić się na jednym celu, by nie tracić energii.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Obowiązki pochłoną Cię bez reszty. Horoskop dzienny mówi, że konsekwencja przyniesie oczekiwane efekty.

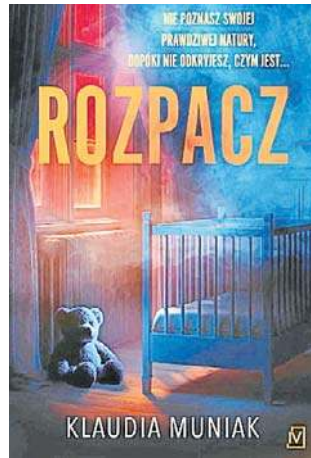
Strzelec (22.11 - 21.12)
Horoskop na dziś zapowiada, że nieszablonowe pomysły spotkają się z uznaniem, jeśli jasno je przedstawiś i zadbasz o szczegóły.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wrażliwość będzie atutem, gdy wykorzystasz ją twórczo. Horoskop dzienny na piątek radzi unikać zamykania się w marzeniach.

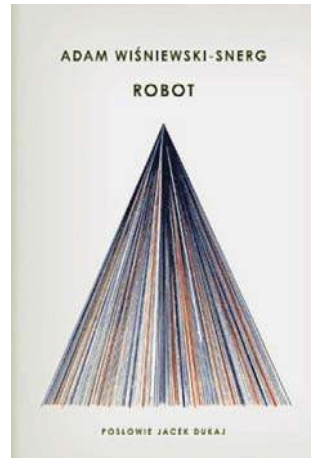
CHCESZ OTRZYMAĆ KSIĄŻKĘ? WSKAŻ JĄ, WYCINAJĄC JEDNĄ Z ILUSTRACJI ZAMIESZCZONYCH PONIŻEJ, NAKLEJ NA KARTKĘ POCZTOWĄ I WYŚLIJ DO KURIERA. CZEKAMY TYDZIEŃ. LISTĘ SZCZĘŚLIWCÓW PUBLIKUJEMY PONIŻEJ.



Kalina Błażejowska „Uparte serce. Biografia Haliny Poświatowskiej”
Debiutanckie wiersze pisała w szpitalu na polecenie lekarza. Miały być dla niej ratunkiem w depresji i chorobie; niespodziewanie odmieniły polską poezję. Jej dzieciństwo przypadło na wojnę, dojrzenie na stalinizm. Jako osiemnastolatka była już mężatką, jako dwudziestolatka – wdową. W 1958 r. zaczęła nowe życie w USA, dokąd popłynęła na operację serca. Zapamiętana jako poetka miłośna, była kimś znacznie więcej. Kalina Błażejowska wspomnienia o Poświatowskiej skonfrontowała z relacjami rodziny, znajomych i kochanków poetki. Z setek dokumentów i dziesiątek rozmów powstała fascynująca biografia ponadczasowej kobiety, której twórczość inspirowała kolejne pokolenia.
Wydawnictwo Literackie



Klaudia Muniak „Rozpacz”
Miłość matki nie zna granic. Nawet tych, których nigdy nie powinno się przekraczać. Bogna, młoda opiekunka, trafia do domu rodziny Maliszewskich. Trzyletnia Rozalka jest oczkiem w głowie rodziców, podczas gdy starszy Tymon schodzi na drugi plan. Z pozoru idealne życie w luksusowej rezydencji skrywa niepokojące tajemnice. Kinga Urbaniak, matka, która straciła dziecko, zrobiłaby wszystko, by ukończyć swój ból. Kiedy umiera w niejasnych okolicznościach, sprawą interesuje się Wiktoria Błońska, lokalna dziennikarka, której docieklivość nie wszystkim się podoba. Śledztwo Błońskiej nabiera tempa, gdy włącza się w nie Sonia Gralewicz, przyjaciółka denatki, zdeterminowana, aby odkryć prawdę.
Czwarta Strona



Adam Wiśniewski-Snerg „Robot”
Debiutancka powieść mistrza fantastyki naukowej, osnuta wokół Teorii Nadistot. W świecie rządzonym przez Mechanizm ludzie są zaprogramowanymi niewolnikami, którzy dostarczają swym panom pokarmu w postaci wiedzy i umysłu. Nie wiedzą nic jednak o istnieniu siły, której polecenia bezwolnie wykonują. Robot BER-64, opierając się wyłącznie na prawach fizyki, próbuje dociec, czy jest człowiekiem czy maszyną, a ze strzępów informacji ustalić, w jakim świecie żyje. Powieść ukazała się po raz pierwszy w 1973 r. i zdobyła wielkie uznanie. Zwyciężyła m.in. w plebiscycie czytelników miesięcznika Fantastyka na polską książkę science fiction powojennego trzydziestolecia.
Wydawnictwo ArtRage



William Wharton „Ptasiek”
Niezwykła opowieść o przyjaźni i marzeniach, o miłości i wojnie, o szaleństwie i pięknie. To historia młodego człowieka, któremu obsesyjna miłość do ptaków umożliwiła ucieczkę od ponurej rzeczywistości. Ekranizacja tego rewelacyjnego debiutu Williama Whartona przyniosła Alanowi Parkerowi nagrodę na festiwalu w Cannes w 1985 roku. Kontynuacją Ptasika jest powieść „Al”. William Wharton (1925-2008) to najpopularniejszy zagraniczny pisarz lat dziewięćdziesiątych w Polsce. Debiutował w wieku 54 lat powieścią „Ptasiek”, która przyniosła mu międzynarodową sławę. Od 1995 roku przez blisko 10 lat pisarz corocznie odwiedzał Polskę, spotykając się każdorazowo z tysiącami wielbicieli.
Rebis



Prezentujemy listę laureatów. Oni wygrali książki w „Kurierze”:

- 5.12 - Barbara Madej, Luiza Pąg, Jacek Kaczmarczyk, Adam Badej, Mirosław Czajkowski
- 12.12 - Cezary Kwik, Anna Waleńska, Maria Badek, Janina Frej, Małgorzata Hycek, Wojciech Grzegorzczak
- 19.12 - Monika Czyżyk, Beata Flis, Alina Kot, Maciej Beńczuk, Franciszek Malicz, Małgorzata Arcik
- 23.12 - Olga Lipiec, Jadwiga Hęcel, Monika Milewska, Cezary Tymicki, Marek Ruciak, Aleksandra Fila

Laureatom gratulujemy, nagrody książkowe wyślemy pocztą

Z PÓŁKISF

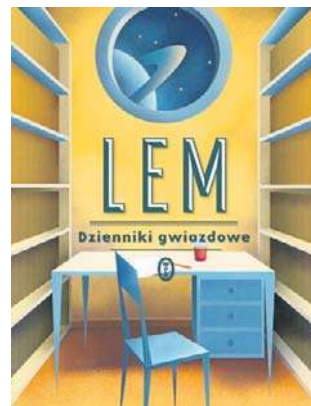
Ijon Tichy poznaje Doktora Łagody Doskonałej

Bohater „Dzienników gwiazdowych”, czyli Ijon Tichy, niczym Guliwer obcuje z różnymi istotami pozaziemskimi. Podczas swych licznych wojaży międzyplanetarnych Tichy poznaje rozmaite obce cywilizacje, stworzone tak przez istoty myślące, jaki i przez zaawansowane roboty. Zaskakujące, ale kosmici mieszkający na oddalonych w przestrzeni (czasem także czasie) planetach mają więcej wspólnego z nami, niż mogłoby się wydawać...

Pierwsze opowiadania z cyklu „Dzienników gwiazdowych” zostały opublikowane przez wydawnictwo Iskry w 1954 r. w to-

mie „Sezam”. Dopiero trzy lata później Iskry wydały po raz pierwszy „Dzienniki...” w formie osobnej książki.

„Zawsze pasjonowały mnie sytuacje takie jak ta z »Dzienników gwiazdowych«, kiedy pojawił się dobroczyńca, który wynalazł środek znoszący całą przyjemność związaną z uprawianiem seksu, a widząc brak zainteresowania, nasypał go do studni w miasteczku i był zdziwiony, gdy postanowiono go z wdzięczności za ten wspaniały czyn powiesić (...) To jest chyba typowe dla mnie podejście do tych spraw” - mówił Lem w wywiadzie ze Stanisła-



Stanisław Lem, „Dzienniki gwiazdowe”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025

wem Beresiem „Tako rzeczec Lem”.

A w liście do Michaela Kandla, z tomu „Sława i fortuna” dodawał: „Gdybym musiał wymienić tylko jedną »Podróż«, wymie-

niłbym tę o teologii robotów w autobotycznej cywilizacji, jako rzecz, w której moje »przekonania metafizyczne» docho- dzą dość wyraźnie do głosu... w pewnym sensie jedyny Absolut, albo jedyny »model« Boga, jaki mogę serio zaakceptować, jest Bogiem oo. Destrukcyjnym z 21. podróży Tichego, bo wyznania wiary tam zawarte są, tj. były pisane z najwyższą powagą, na jaką w ogóle mnie stać”.

Kim w ogóle jest Ijon Tichy, „gwiazdny podróżnik”? Otóż niewiele wiadomo o jego przeszłości (poza anegdotycznymi szczegółami dotyczącymi przeszłości jego rodziny, jego narodzi- ni i nazwiska). W domu, czyli na Ziemi, bywa rzadko, większość czasu spędzając w podró- żach. U Lema pojawia się jeszcze w „Kongresie futurologicznym”, „Wizji lokalnej” i „Pokoju na Ziemi”.

Anonimowość Tichego Lem tłumaczył następująco: „Stylizacja głównego bohatera >>Dzienników<<, Ijona Tichego, na barona Münchhausena, czy Guliwera, nie była świadomym zabiegiem pisarskim, mojej pracy nie poprzedzały żadne teoretyczne założenia, nie szukałem żadnych prefiguracji, wzorców, paradygmatów, tak jak rzeka nie antycypuje swojego koryta. Moje utwory pisały się same, byłem czymś w rodzaju racjonalnie pracującego medium, ale nie przetwarzalem jakichkolwiek przedustawnie powziętych planów”.

Tichy, co ważne, jest narratorem we wszystkich historiach z jego udziałem. Są to zazwyczaj opowieści o zabarwieniu satyryczno-groteskowym, w stylu powiastek filozoficznych, tyle że w kostiumie fantastyki naukowej.

Iga, „Hubi” i pozostali Polacy poznali rywali w Melbourne

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Iga Świątek, rozpoczynający się w niedzielę Australian Open zacznie meczem z kwalifikantką, Chiną Yue Yuan. Losowanie drabinek turnieju głównego odbyło się w czwartek.

Iga Świątek w pierwszej rundzie Wielkiego Szlema w Melbourne trafiła na Yue Yuan, która plasuje się na 130. miejscu w światowym rankingu, ale była w nim niegdyś 36. Iga z 27-letnią Chiną zmierzyła się dotychczas raz: pokonała ją 6:0, 6:3 w drugiej rundzie imprezy WTA w Pekinie. Najlepszym wynikiem Yuan w Wielkim Szlemie pozostaje trzecia runda w Nowym Jorku z 2022 roku.

W przypadku wygranej w drugiej rundzie na Świątek czekać będzie ewentualnie Czeszka Marie Bouzkova (45. WTA) bądź Meksykanka Renata Zarazua (84. WTA).

W „czwartce” polskiej wiceliderki światowego rankingu znalazły się między innymi Rosjanka Ludmiła Samsonowa, Japonka Naomi Osaka (prowadzona przez byłego trenera Świątek Tomasz Wiktorowski), Szwajcarka Belinda Bencic, z którą kilka dni temu przegrała w trakcie United Cup, ale przede wszystkim rozstawiona z „piątką” Jelena Rybakina z Kazachstanu, która czekać może na Polkę w 1/4 finału.

Najmniej szczęścia w losowaniu miała z reprezentantów Polski Magda Linette. 33-letnia polnianka, która wciąż uczestniczy w turnieju w Hobart, w Melbourne zacznie od pojedynku z rozstawioną z numerem 15. Amerykanką Emmą Navarro.

Będzie to ich druga konfrontacja; z byłą ósmą tenisistką



Iga Świątek i Hubert Hurkacz poznali swoich rywali po losowaniu drabinek gier singlowych Australian Open

globu Polka zmierzyła się już w 2. rundzie turnieju w Toronto w 2024 roku i przegrała 2:6, 4:6.

Najlepsze osiągnięcie Linette w Melbourne i jednocześnie Wielkim Szlemie to półfinał edycji 2023. Navarro to z kolei półfinalistka US Open 2024, a przed rokiem w Australian Open osiągnęła ćwierćfinał, w którym gładko uległa... Świątek.

Z kolei Magdalena Fręch trafiła na 99. w świecie Veronikę Erjavec. Będzie to jej pierwszy pojedynek z grającą po raz trzeci w Wielkim Szlemie 26-letnią Słowenką.

Podopieczna trenera Andrzeja Kobierskiego, która z powodu lekkiego urazu, ale bar-

dziej profilaktycznie, wycofała się z imprezy w Hobart po wygraniu pierwszego spotkania, ma miłe wspomnienia z Melbourne. Dwa lata temu dotarła do 1/8 finału (czwarty etap), a przed rokiem odpadła rundę wcześniej. To jej najlepsze wyniki w zmaganiach wielkoszlemowych - razem z 3. rundą ubiegłorocznego US Open.

W kolejnej rundzie może na Fręch czekać Włoszka Jasmine Paolini (nr 7.).

W czwartek awans do zasadniczej części zmagania wywalczyła pochodząca z Czech, ale reprezentująca od ubiegłego roku Polskę Linda Klimovičova. Krótko przed ceremonią losowania Klimovičova wygrała

trzeci mecz w kwalifikacjach i po raz pierwszy w karierze przebiła się do głównej części zawodów wielkoszlemowych.

Po dołowaniu do drabinki głównej zwyciężczyni kwalifikacji okazało się, że Linda zagra z 25-letnią Brytyjką Francescą Jones, która zajmuje 69. lokatę na liście światowej. Reprezentantka Polski plasuje się 65 miejsc niżej.

Wracający do wielkoszlemowej rywalizacji po półrocznej przerwie Hubert Hurkacz na otwarcie zagra z 43. w rankingu ATP Belgiem Zizou Bergsem. Będzie to ich premierowe spotkanie.

W drugiej rundzie przeciwnikiem Wrocławianina może być Tallon Griekspoor, którego pokonał w United Cup, a na łączny bilans 4-2 składa się między innymi zwycięstwo przed rokiem w Melbourne, kiedy „Hubi” odpadł w drugiej rundzie. Rozstawiony z numerem 23. Holender musi wcześniej pokonać Amerykankę Ethana Quinnę.

W Australian Open Hurkacz najdalej - do ćwierćfinału - dotarł w 2024 roku.

Kamil Majchrzak zmierzył się w pierwszej rundzie z Jacobem Fearnleyem. Polak zajmuje najwyższe w karierze, 58. miejsce w świecie, a Brytyczyk jest aktualnie 77. tenisistą globu.

Do tej pory spotkali się raz: w 2024 r. w kwalifikacjach halowej imprezy w Sztokholmie górą był zawodnik z Worcester, który w czerwcu zeszłego roku na tydzień zagościł w TOP 50 rankingu ATP.

Zyciowym sukcesem 30-letniego Polaka w Wielkim Szlemie jest 1/8 finału ubiegłorocznego Wimbledonu. W Melbourne tylko raz - w 2022 roku - dotarł do drugiej rundy.

Koci finał Pucharu Narodów Afryki 2025: „Lwy Tarangi” kontra „Lwy Atlasu”

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Senegal i reprezentacja gospodarzy zagrają w niedzielny finał Pucharu Narodów Afryki 2025 w Maroku. Dzień wcześniej w meczu o trzecie miejsce zmierzą się Egipt i Nigeria.

W pierwszym półfinale Senegal pokonał w Tangerze Egipt 1:0 po trafieniu w 78. minucie Sadio Mane, byłego skrzydłowego Liverpoolu, gdzie grał w ataku u boku napastnika „Faraonów” Mohameda Salaha.

Mane, który ogłosił, że PNA 2025 w Maroku będzie jego ostatnim w karierze, sforsował „autobus”, jaki Egipcjanie postawili przed swoją bramką. „Salah w spotkaniu nie dotknął ani razu piłki w polu karnym „Lwów Tarangi”. Zawiodł także gwiazdor Manchesteru City Omar Marmoush.

Z kolei gospodarze - „Lwy Atlasu” - w Rabacie mieli wygrać przewagę w starciu z Nigerią. Oddali 16 strzałów, a ry-

wale 2, ale awans wywalczyli dopiero po konkursie rzutów karnych, w którym zwyciężyli 4:2, a dwie „jedenastki” obronił specjalista od karnych Yassine „Bono” Bounou, wybrany MVP meczu. Po 90 minutach oraz dogrywce był bezbramkowy remis.

Obaj finaliści staną przed szansą na swój drugi triumf w tym turnieju. Senegal wywalczył jedyny dotychczasowy tytuł w 2022 roku w Kamerunie, a Maroko czeka na taki sukces od 50 lat.

Co ciekawe, Senegal z Marokiem w PNA zmierzą się ze sobą po raz pierwszy w historii.

Pokonani w półfinałach zagrają w sobotę w Casablance o brązowy medal. Mecz o tytuł odbędzie się dzień później w Rabacie. ©

PUCHAR NARODÓW AFRYKI

Półfinał: Senegal - Egipt 1:0 (Mane 78), Nigeria - Maroko 0:0 (karne 2-4).

Mecz o 3. miejsce: Egipt - Nigeria (sobota, 17 stycznia, godzina 17).

Finał: Senegal - Maroko (niedziela, 18 stycznia, godzina 20).



Wielka trójka Marokańczyków: bramkarz Yassine Bounou, trener Walid Regragui i kapitan Achraf Hakimi

Bednarek bohaterem klasyku. FC Porto wyrzuciło Benfikę Lizbona

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Porto awansowało do półfinału Pucharu Portugalii po wyeliminowaniu Benfiki (1:0). Bohaterem został polski obrońca Jan Bednarek, który zdobył bramkę w pierwszym kwadransie.

Ćwierćfinałowemu hitowi na wypełnionym po brzegi Estádio do Dragão z ławki rezerwowych przyglądał się 17-letni skrzydłowy Oskar Pietuszewski, najdrożej sprzedany

piłkarz w historii Jagiellonii Białostok. Dla młodzieżowego reprezentanta Polski mógł to być wymarzony debiut, jednak trener Francesco Farioli najwyraźniej nie chciał rzucić go na (zbyt?) głęboką wodę. Złazcza że FC Porto mierzyło się w klasyku z inną, równie utytułowaną ekipą - Benfiką.

Od pierwszej minuty na murawie oglądaliśmy dwóch czołowych reprezentantów Polski: Jana Bednarka i Jakuba Kiwiora. Wspólnie z legendą brazylijskiej piłki Thiago Silvą

nasi reprezentacyjni stoperzy współtworzyli blok defensywny.

Już w 15. minucie Bednarek wpisał się na listę strzelców. Środkowy obrońca najlepiej odnalazł się w polu karnym po dośrodkowaniu z rzutu różnego i skutecznym strzałem głową pokonał bramkarza Benfiki.

Podopieczni José Mourinho długimi momentami nie potrafili odpowiedzieć - nie tyle golem, co choćby celnym uderzeniem na bramkę Diogo Costy.

Po przerwie z powodu kontuzji plac gry musiał opuścić strzelec bramki - Bednarek. Jedynym Polakiem, który dotrwał do końcowego gwizdka, był zatem Kiwior.

To nie jego na koniec meczu uznano jednak bohaterem, a bardziej doświadczonego reprezentacyjnego koleżkę, który zebrał najwyższe noty.

Portugalskie media zwróciły uwagę, że występ Bednarka nie był pozbawiony ryzyka. Już na początku spotkania środkowy obrońca popeł-

nił bowiem błąd, który musiał naprawiać faulem.

„Popełnił poważny błąd w 11. minucie, który naprawił faulem, za co został ukarany żółtą kartką i ryzykował nawet czymś więcej. Później przeszedł w tryb czysto pragmatyczny, skutecznie przerywając wszystkie akcje przed sobą i ostatecznie miał pozytywny wkład w zwycięstwo zespołu z Porto” - ocenił dziennik „A Bola”.

Z kolei Kiwiora media określiły mianem „hojnego dostarczyciela fauli”.

„Wbrew temu, do czego przyzwyczaił, był hojnym »darczyńcą« przewinień. Jego drużyna popełniła łącznie 22 faule w trakcie meczu. Podobnie jak jego rodak i partner z defensywy, Bednarek, nie przejmował się estetyką gry, co pozwoliło Diogo Goście mieć spokojniejszy wieczór. Szczególnie w pierwszej połowie zanotował także kilka udanych prób przy rozegraniu piłki” - podkreślono przy ocenach wystawionych w dzienniku „A Bola”. ©

SPORT

www.sportowy24.pl

Sensacja. Mistrzowie Polski przegrali z chełmskim beniaminkiem

Krzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

SIATKÓWKA. **Nie tak miał wyglądać wtorkowy wieczór w hali Globus. Siatkarze Bogdanki LUK Lublin sensacyjnie przegrali z ekipą InPost ChKS Chełm 1:3, w meczu 16. kolejki PlusLigi.**

Mistrzowie Polski tym samym stracili punkty w starciu, w którym byli zdecydowanym faworytem. Trener Stephane Antiga, z uwagi na natłok meczów, swoim kluczowym zawodnikom dał w tym starciu jednak odpocząć.

Statuetkę MVP spotkania otrzymał Remigiusz Kapica, zdobywca 26 punktów dla beniaminka z Chełma.

Dzięki sensacyjnemu triumfowi podopieczni Krzysztofa Andrzejewskiego opuścili ostatnie miejsce w PlusLidze, wychodząc tym samym ze strefy spadkowej (bilans: 4-11).

Z dorobkiem 13 punktów ChKS ma w tym momencie dwa oczka zaliczki nad będącymi za jego plecami ekipami ze Lwowa, Gorzowa Wielkopolskiego i Częstochowy.

Dzisiaj InPost czeka kolejny sprawdzian formy, po raz kolejny z zespołem z czołówki. O godzinie 20 początek domowego meczu z czwartym w stawce Aluronem CMC Warta Zawiercie (bilans: 9-5) – wice mistrzem Polski z ubiegłego sezonu.



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Bogdanka LUK szansę na rehabilitację będzie miała natomiast jutro (godz. 14:45). Obrońcy tytułu, zajmujący aktualnie drugie miejsce w tabeli (bilans: 11-4) udadzą się do Bełchatowa na konfrontację z PGE GiEK Skra (bilans: 9-4 i piąte miejsce w lidze).

W pierwszej części sezonu lubelscy siatkarze przegrali u siebie z Bełchatowianami 1:3. Przed nimi więc szansa na wzięcie rewanżu. ©©

Bogdanka LUK Lublin - InPost ChKS Chełm 1:3 (17:25, 25:20, 23:25, 27:29)

Bogdanka LUK: Gynah 10, Henno 11, Wachnik 13, Prokopczuk 2, McCarthy, Sasak 2, Czyrek (libero) oraz Young 13, Zajac 7. Trener: Stephane Antiga

InPost ChKS: Turski 9, Blankenau 2, Piotrowski 16, Kapica 26, Estandiar 7, Swodczyk 4, Soana (libero) oraz Rusin 8, Fasteland 1. Trener: Krzysztof Andrzejewski

KOSZYKÓWKA

W niedzielę PGE Start Lublin zagra o czwarty triumf z kolei
Po trudnym początku sezonu, lubelscy koszykarze (bilans: 6-9) są na fali. Wygrali trzy ostatnie ligowe potyczki – każdą z wyżej notowanym rywalem. – Na pewno lepiej się pracuje i lepiej się żyje po zwycięstwach – przyznaje trener Wojciech Kamiński. Pojutrze Start będzie miał okazję na kontynuowanie serii. Mecz w Szczecinie z Kingiem (bilans: 10-5) rozpocznie się o 12:30.



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI

PIŁKA NOŻNA

Gucek piłkarzem Górnik
Luka Gucek został nowym obrońcą pierwszoligowego Górnik Łęczna. 26-letni Słoweniec podpisał umowę do końca czerwca tego roku, z opcją jej przedłużenia na kolejny sezon.

MKS wygrał hit z Zagłębiem i nadal jest w grze o mistrza

Krzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

PIŁKA RĘCZNA. **Piłkarki ręczne PGE MKS El-Volt Lublin po znakomitym i pełnym emocji widowisku pokonały w środowy wieczór przed własną publicznością mistrzynie Polski - KGHM Zagłębie Lubin 34:28.**

Mecz w hali Globus dostarczył wszystkiego, czego można oczekiwać od ligowego hitu - były czerwone kartki, efektowne akcje, instynktowne parady bramkarek i piekielnie ważny triumf zespołu z Lublina. Takiego przebiegu wydarzeń sprawił, że rywalizacja o tytuł mistrzowski rozgorzała na nowo.

– Na pewno mieliśmy dobre wejście, zarówno w pierwszą, jak i drugą połowę meczu. Przy pięciobramkowym prowadzeniu wydawało się, że do przerwy utrzymamy tę przewagę. Niestety, ale nie udało się to – mówi Paweł Tetelewski, szkoleniowiec PGE MKS El-Volt. – Wynikało to z naszych błędów, nieskuteczności i zawodniczek z Lubina doprowadziły do remisu. W drugiej połowie sytuacja była podobna. Szybko odskoczyliśmy na cztery bramki, fajnie graliśmy i znowu pojawiły się jakieś pomyłki, nieskuteczne rzuty, do tego doszły kary indywidualne i końcówka pojedynku zrobiła się naprawdę gorąca. Wytrzymałyśmy to jednak i naprawdę należy się ogromny szacunek dla dziewczyn.



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

MKS traci sześć punktów do Zagłębia, ale rozegrany ma jeden mecz mniej

czyn. Cały czas chciałbym oglądać taki zespół – dodaje.

Fantastyczną dyspozycję zaprezentowała Aleksandra Rosiak, która otrzymała statuetkę MVP. Lubelska rozgrywająca rzuciła osiem bramek na jedenaście oddanych rzutów, co przełożyło się na skuteczność na poziomie 73 procent. To pierwsza wygrana wicemistrzyń kraju z „Mie-dziowymi” od 17 kwietnia 2025 roku, gdy zwyciężyły we własnej hali 29:25.

– Potrzebowałyśmy takiego meczu, cieszymy się bardzo z tego zwycięstwa, że w końcu okazałyśmy się lepsze od Zagłę-

bia – podkreśla Aleksandra Rosiak. – Od pewnego czasu nasza gra wygląda trochę inaczej. W tych cięższych momentach pokazujemy charakter, zachowujemy zimną głowę i nie spuszczaemy głów. Na pewno nasza obrona, pewność siebie i publiczność w hali Globus pomogły nam triumfować. Teraz do każdego meczu będziemy podchodzić, jak o wszystko, żeby walczyć o mistrzostwo Polski – dodaje.

Co ciekawe ekipa z „Koziego Grodu” popełniła aż czternaście strat, przy zaledwie sześciu rywalach. W świetnej formie były

jednak lubelskie golkipierki. Zarówno Paulina Wdowiak, jak i Portugalka brazylijskiego pochodzenia, Caroline Martins miały imponującą skuteczność obrony – 44 procent. ©©

PGE MKS El-Volt Lublin - KGHM Zagłębie Lubin 34:28 (15:15)

MKS: Martins, Wdowiak - Rosiak 8, Andruszak 6, O'Mullony 5, Górnica 5, Szykaruk 3, Radosavljević 2, Gliwińska 2, Lima 1, Planeta 1, Tomczyk 1, Matyszczak, M. Więckowska, D. Więckowska, Przywara. Kary: 16 min. Trener: Paweł Tetelewski
Zagłębie: Malickiewicz, Zima - Fraga 7, Cesareo 6, Jakubowska 5, Cavo 3, Kochaniak 2, Grzyb 2, Cardoso 2, Janas 1, Drabik. Kary: 14 min. Trener: Bożena Karkut

„Dobra oferta i sprzedałbym zimą Czubaka”

Jacek Bąk
redakcja@kurierlubelski.pl

Gdyby była dobra cena, to bym sprzedał zimą Karola Czubaka. Nie jest to mój typ zawodnika. Nie wiem zresztą czy porwałby zachodnie kluby - pisze Jacek Bąk w swoim komentarzu dla „Kuriera”.

Trzeba przyznać Karolowi, że pod kątem zdobywania bramek – top (dziesięć goli jesienią), nie ma tu dyskusji, ale co poza tym co daje w meczu? Jakie są jego umiejętności piłkarskie, zwrot-

ność, gra jeden na jeden? Kluby zachodnie na to patrzają.

Karol nie jest na ten moment kompletnym zawodnikiem, trochę mu brakuje. Dlatego bym go sprzedał, a na jego miejsce wziął kogoś innego. Co prawda polskim rynku transferowym nie ma w tym momencie nikogo, kto mógłby go zastąpić, ale za granicą już tak.

Wiadomo, że Motor nie jest jakimś wymarzonym kierunkiem dla graczy zza granicy, bo też nie gra jakoś dobrze. Ale dla piłkarzy, którzy nie występują w mocnych klubach i chcą się

rozвивać? Tyle że trzeba mieć znajomości, żeby takiego zawodnika opłacić, może wypożyczyć.

Pojawia się kwestia dyrektora sportowego, którego na ten moment w klubie nie ma. Prezes Zbigniew Jakubas przyznał w Przeglądzie Sportowym, że chce sprowadzić Veljko Nikitovicia, który do końca czerwca ma ważny kontrakt w Gdynia. Kiedy więc przyjdzie?

Powiem tak: taka osoba musi być w klubie, natomiast jej brak w danym momencie nie jest bardzo istotny. Wtedy więc obowiązków spada na tre-

nera i prezesa, tak bywa. Kluczowe w tym wszystkim jest to, żeby znaleźć i sprowadzić dobrego zawodnika. Czy robi to trener, prezes czy dyrektor, jest kwestią drugorzędą. Grunt, żeby kogoś takiego znaleźć i żeby Motor się wiośną utrzymał.

Bo chyba utrzymanie postawić należy sobie za cel. Zawsze drugi rok w Ekstraklasie jest trudniejszy. Europejskie puchary byłyby bonusem, ale tak wysoko nie mierzę. Motorowi na ten moment nieco brakuje do tego, żeby się w nich znaleźć. ©©



FOT. KAMIL WOI DAT

Jacek Bąk komentuje dla Kuriera wydarzenia z podwórka lokalnego i ogólnokrajowego